

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena zł 5.

Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak na przykład polityk narodowy organizuje siły stanu.

CYPRIAN NORWID

Rok I

Łódź, 18 listopada 1945 r.

Nr 12

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

Próba diagnozy

1. ZDROWI I CHORZY

Piszę — inteligent o inteligentach. My, lewica inteligencka, nie jesteśmy odosobnioną garścią. Szczególnie wielu jest nas wśród pisarzy i wśród techników. Pisarze wypowiadają się wprost na tematy ideowe. Technicy świadczą swoją pracą o stosunku do rzeczywistości polskiej. Dla mnie, racjonalisty — to się tłumaczy. Pisarze zwykli są trafniej i głębiej rozumieć rzeczy ludzkie. Technicy zaś przyzwyczajeni liczyć się z obiektywnymi elementami rzeczywistości. I to jednych i drugich kieruje na drogie postępy.

Ale przynajmniej: dość poważna część środowiska inteligenckiego jest niezdeterminowana, boczy się, trwa w bierności, niechęci, oczekiwaniu. I to nie są bynajmniej reakcjonisci. To nie są elementy lokalne wielkiego kapitału czy obszarnictwa: dawne oficerstwo, oficjaliści, policjanci. Po prostu stoją na uboczu. Czy może garną się do PSL, który coraz bardziej prawiłoby bywa pojmowany? O ile PSL ma konstruktywny stosunek do rzeczywistości, są obcy i PSL-owcy. To jest po prostu emigracja wewnętrzna. I ta komiczna z kapitalnych felietonów Grodzkiej i ta serio, której bierny opór ciąży i przeszkadza w pracy. Apatia — objaw choroby. Niewątpliwie część naszej inteligencji jest chora.

W tym artykule chciałbym wskazać symptomy tej choroby, poszukać, gdzie można, przyczyn. Liczę, że uwagi te podniecą dyskusję i wtedy praktyczniej ode mnie wskażą lekarstwa, drogi wyjścia, środki zaradcze. Miałem niedawno możność zetknięcia się z działaczami — robotnikami w odległym powiecie. Chciałbym, aby nasza inteligencja w tymże środowisku tak tkwiła w konkretnej robocie, jak ci robotnicy. Tak rozumiała, że buduje swoją Polskę.

2. ANALIZA KLASOWA

Dla niemarksisty może to być obojętne stwierdzenie. Ale warto przypomnieć. Rzeczy zresztą ogólnie wiadome. To w 70-tych latach zeszłego stulecia — po reformie rolnej — stosunkowo silne procesy urbanizowania się szlachty stały się źródłem istotnego przrostu naszej inteligencji miejskiej. To też skład klasowy tego środowiska, genetycznie rzecz biorąc, był bardzo jednostronny. Dopływ klasowo innego elementu był słaby. O tym mówią statystyki szkolne. Zbyt wyraźnie wieloma wiekami pochodzenia, pokrewieństwa, tradycji, ożenków, wreszcie interesów — spora część naszej inteligencji była powiązana z ginącym światem. W latach międzywojennych dopływ elementu chłopsko-robotniczego kurczył się. Weźmy pierwszy lepszy przykład: skład społeczny nauczycielstwa. Gdy istniały seminaria, które przyjmowały ucznia do szkoły powszechnej i po ukończeniu dawały zawód i to zawód będący dla chłopskiego syna awansem społecznym — kadry nauczycielstwa składały się właśnie z najzdolniejszej młodzieży chłopskiej. Stworzone potem licea pedagogiczne przyjmowały uczniów po ukończeniu gimnazjum. Już dziecku chłopskiemu nie opłacało się wtedy uczęszczać do liceum pedagogicznego. Zbyt ryzykownym było przebywanie długiej drogi gimnazjalnej, a gdy się na to zdecydował, nie szedł na belfra, niewiele wysiłku, a mógł osiągnąć atrakcyjny wolny zawód. To też licea pedagogiczne przepelniały mniej zdolne córki drobnych urzędników. Środowisko nauczycielskie przedtem istotnie wśród inteligencji najbardziej ludowe i postępowe — stopniowo zmieniało dawne oblicze. A w środowisku

wolnych zawodów ci nieliczni chłopci ginęli — asymilowali się — zbyt nieliczni, nie byli zdolni wnieść własnego tonu.

Lecz ktoś pyta: a warunki ekonomiczne? Przecież kondycja pracownika najemnego właściwa przeciętnemu inteligentowi winna kształtować jego świadomość na przekór pochodzeniu i tradycji. Zapewne, lecz wśród proletariatu inteligent bywał przez kapital jak tak uprzywilejowany i stąd nie czuł swego związku z masą robotniczą. A ponadto procesy przemian świadomości społecznej przebiegają powoli i kręto, jeśli nie są świadomie kształtowane. Tymczasem nasze partie robotnicze mają na sumieniu tysiączne błędy, bezwład i zaniedbanie, jeśli idzie o pracę wśród inteligencji. Nadto zawodowy ruch inteligencki nie ma tradycji jednolitego współdziałania z ruchem robotniczym. Te tendencje zaczęły się budzić dopiero w ostatnich latach przedwojennych jako reakcja na skutek ofensywy faszystów. I dziś trwają te tendencje odporne i separatystyczne i dziś brak zrozumienia dla koniecznej jednolitości ruchu zawodowego, jeśli ten ma być siłą społeczną.

A przy tym działają tu wzory obyczajowe utrwalające pewne przedziały społeczne. Pisarzom łatwiej było przelamać te zapory — bo wzór doskonałego pisarza utrwalił się ostatnio w typie pisarstwa społecznego, klasowo zdecydowanego. Przypominajmy sobie pociągające literatów powołanie Kruczkowskiego, Wasilewskiej, pisarzy chłopskich. Lecz w innych grupach inteligenckich dominował wzór obyczajowy korporanta i oficera. Kulturowo korporanckiego uczył się przyszły lekarz na uniwersytecie. A kulturowo oficerskiego uczył się przyszły urzędnik w jedyniej swojej szkole wyższej, która mu — jak wiemy — imponowała: w podchorążówce.

Ale chyba i nie marksista zrozumie, że środowisko, odcięte od wielorakich stałych związków, odcięte od podstawowymi masami narodu, środowisko z ambicjami korporancko-oficerskimi, musiało być chore.

3. STARCZA CHOROBA POSTĘPOWOCI

Może za często powtarzam wyraz choroby. Ale to z zamierzenia jest rozprawka z zakresu patologii społecznej.

Lenin mówił o „dziecięcej chorobie lewicowości”. Idzie mi o coś podobnego. Psychologicznie jednak na przeciwnym biegunie. Pisałem kiedyś o dwu typach postępowców. Jeden chce, aby przede wszystkim „wszystko było wolno”. W konsekwencji także wilkom zjadać owce. Drugi wie od początku, na co zezwalać, a czego zabronić. Umie wybrać to, co sprawiedliwe, i czynnie się za tym opowiedzieć. Rozumie, że przemiany społeczne to sprawa walki, sprawa organizowania „apokalipsy”.

Jakże często niepodobna dogadać się właśnie z inteligentem, który uważa siebie za postępowca. Wolność, demokracja, równouprawnienie — to dla niego nie wyraża się w żadnych konkretnych poczynaniach społecznych. Dla niego to słowa języka magicznego. Inteligent taki nie mówi językiem żadnej praktyki społecznej. Przyszłość nie widzi on w konkretnym kształcie socjalistycznego — czy demokratycznego państwa, które urzeczywistnia się przez powołanie określonych instytucji. Postęp dla niego to starcze, bezmyślne przywiązanie do „szlachetnych ideałów”, ex definitione nieosiągalnych, ale przywiązanie, które „uszlacheenia dusze”.

Inteligent taki — jak zwykle starcy — obcy już nie swoim czasem, nie rozumie rzeczywistości. Nie mówi językiem praktyki. Nie myśli politycznie. Bo niewątpli-

wie myślenie polityczne jest rzeczywistością najbliższą. Doświadczenie uczy, że pozwala najtrafniej z praktycznego punktu widzenia w niej się orientować, zastępuje wielorakie — jednemu człowiekowi niedostępne — odrębne dla każdej dziedziny życia, metody fachowego myślenia.

4. DWIE POLSKI

Pisał kiedyś Wyspiański, że nie należy solidaryzować się z gorszą częścią narodu. Zbyt często inteligencja właśnie solidaryzowała się z antynarodową reakcją. W historii naszej były zawsze dwie Polski, ludowa i reakcyjna. I to właśnie reakcja usurpowała sobie przywilej wydawania certyfikatów polskości. Nie był Polakiem dla nich — Kołłątaj. Nie byli Polakami postępowcy z „Klubu” w 1831, a był Polak Krukowiecki i Skrzyński. Nie byli Polakami „czerwoni” w 1863, a był hr. Zamoyski i Władysław Czartoryski. Pogrzebana była pamięć Jarosława Dąbrowskiego, a czczona Langewicza. Jeszcze ostrzej zarysowały się te linie graniczne w nowych czasach. Bojowników z 1905 r. odsadzono od czci i wiary. Świętych narodowych robiono z różnych Dmowskich.

Brak u nas rewolucyjnej tradycji Francji. W świadomości inteligencji nastąpił szkodliwy przrost poczucia ponadklasowej wspólnoty narodowej. Nie nauczyliśmy się, że walka o postęp odbywa się przede wszystkim przeciw własnej reakcji. To typowy błąd perspektywy społecznej, który nam został po okresie niewoli. Był zbior, gdy się okryje złupioną bezczelnie białoczerwoną chorągwią, korzysta z przywileju nietykalności. Inteligencja poddaje się od przeszło setki lat temu terrorowi. Monopol na polskości mają u nas właśnie obcy narodowi reakcjonisci. Bo gdy chluba narodową Francji były zwycięskie rewolucje, naszą chluba narodową były powstania, zdradzone przez egoizm klasowy reakcji. Musi inteligencja polska wyrobić w sobie nowy typ ambicji kulturalnej: przodowania w postępie. A nie jak dotąd: trwania przy sztandarze tradycji. Odrodzić trzeba naszą przeszłość postępową — tak zaprzepaszczoną przez historyków solidarnych z gorszą, ze złą, niegodną częścią narodu.

5. SPIĄCY A PODEJRZLIWI

Przeciętny inteligent polski nie umie myśleć politycznie. W dobie okupacji — gdy padło hasło jedności narodowej — niecodziennie je realizowano. Do AK w swej masie żołnierskiej uczciwej — przyjęto Narodowe Siły Zbrojne. Komorowski wiedział co robi, to był świadomy szkodnik. Ale dlaczego nie buchnął płomień powszechnego oburzenia? Dlaczego poinformowana o życiu konspiracyjnym część inteligencji przyjęła to dobroduszenie jako realizację „jedności narodowej”? Skąd to naiwne wpuśczenie wroga do twierdzy? Inteligencja nasza nie jest faszystowska. Ale część jej wyraźnie została znieczulona na działania toksyn reakcyjnych. Nie dostrzega niebezpieczeństwa, nie umie przed nim się bronić. Zaiste polityczna niewinność — spać spokojnie pod zwisającym obuchem faszystowskiego zamachu. Reakcjonista w Polsce nie dziwił nie niepokoił, był zwyczajny, codzienny, spotykało go się na każdym kroku. W środowisku inteligenckim — jak mówiłem — wielorako powiązany z ginącym światem, reakcjonista, korporancik był swój.

Nerwowa podejrzliwość, naturalna ksenofobia budziła się dopiero wobec postępowca. To był ktoś obcy, to był domniemany agent. Inteligent polski tak mało znał ruch robotniczy i chłopski, jego formy

i tradycje, że wobec polityki ludowej stawał się podejrzliwy i nieufny.

To też za słaby był protest wśród inteligencji gdy sanacyjny przywódca AK, łącząc się z NSZ, odrzucił wyciągniętą dłoń Armii Ludowej. A to połączenie chyba powinno było się mieścić w koncepcji jedności narodowej?

6. BEZ KONTURÓW

Gdy czyta się polemiki rosyjskich rewolucjonistów sprzed 50 lat, można sobie uświadomić, jak zbawienny jest wpływ takiego szczegółowego przemyślenia każdego problemu, zarówno taktycznego, jak i ideowego. Jak jasną staje się wtedy rzeczywistość, jak ostrych nabiera konturów, jak dobrze wówczas wiadomo, co i jak należy działać. Nie mamy za sobą takiego okresu. Nie mamy takich analiz naszej konkretnej rzeczywistości, jak prace Lenina o kapitalizmie rosyjskim. Do świadomości naszej inteligencji znikąd nie przeniknęła rzeczowa wiedza o naszym kraju.

Z winy szkoły, oderwanej od życia, w programie ustroju reakcyjnej, zbyt powszechny jest w naszym środowisku inteligenckim analfabetyzm ideowy i polityczny. W naszej literaturze politycznej ostatnich lat nie walczyli przedstawiciele wyrażanych kierunków. Czasem trafił się jakiś referat w rodzaju Aleksandra Hertzga. W ciągu dwudziestolecia wydaliliśmy wśród godnych wspomnienia tego rodzaju książek, tylko nieinteligentne biblie drobno-mieszczkańskiej kulturerii pióra Dmowskiego.

Kultura naszej inteligencji była naskórkowa. Subtelna i niepoważna. Kultura raczej literacka. Inteligent polski znał sporo ciekawostek historycznych i nieźle był odczytany w literaturze pięknej. I dlatego chętnie sięgał po „Wiadomości Literackie”, a nie rozumiał prostego wyводу ekonomicznego. Zanalizował to J. A. Król w doskonałym artykule „Jakiej młodzieży oczekujemy?” („Więść” Nr 14-21). Zestawił on egzaminacyjną odpowiedź młodej inteligentki na temat „Kim jestem i do czego dążę?” oraz analogiczny treściowo fragment pamiętnika młodego chłopca. Autor konkluduje: „Z tego fragmentu dowiedzieliśmy się mnóstwo rzeczy. O nim *działającym*, czyniącym zawsze coś konkretnego. To jest człowiek z *zycioryssem*. Czego nie można powiedzieć o naszej kandydatce. Ona jest postacią utkaną z marzeń o niesprecyzowanych ideałach. Ona jest bez przeszłości i zagrożona brakiem przyszłości”.

7. ŚWIAT Z WATY

Nie spodziewam się, abym wskazał tu wszystkie symptomy choroby omawianej części naszej inteligencji. Jestem racjonalistą. I przeto wyczułym na pewne błędy, przede wszystkim na błędy myślenia.

Właściwie wielu inteligentom nieumiejętne ujmowanie rzeczywistości wyrażało się przede wszystkim w traktowaniu świata jakby był nieskończenie plastyczny. Dla tak myślącego człowieka istnieje zawsze wolny wybór drogi działania, zależny li tylko od wewnętrznych imperatywów. Nie dostrzega on, że rzeczywistość stawia opór, że daje się kształtować skutecznie tylko w zgodzie z określonymi, własnymi prawami. Inteligent polski nie uznaje koniecznych dróg działania, uznaje tylko bliższe sercu.

Symptomatyczny był artykuł Jerzego Andrzejewskiego w niedawnym numerze „Odrodzenia”. Pisarz ten godzi się na marksizm i marksistowskie pojmowanie świata. Ale tylko w pewnym zakresie. W innym radby posłużyć się obrazem rzeczywistości, właściwym filozofii katolickiej. Jeśli myśl teoretyczna nie jest jed-

nie kodyfikacja naszych marzeń, ale odzwierciedlenie rzeczywistości i formułuje niezależne od naszej woli, obiektywne prawa, rządzące tą rzeczywistością — wówczas tylko jeden obraz świata jest prawdziwy. Świat nie jest z mgły utkany, aby dowolnie poddawał się poczynaniom, wynikającym raz z takiego, raz z innego systemu marzeń. Kto nie umie poddać się rygorom wiedzy, która determinuje obiektywny układ rzeczywistości — a nie nasze dyspozycje psychiczne, ten musi wierzyć w cuda. Miał rację Borejsza, gdy pisał, że „inteligent nasz jest katastrofista, wierzy w „bomby atomowe”. Czekając cudownego zdarzenia, które nagłe, naprzekór biegowi rzeczy wszystko odmieni, da kształt dotychczas sennym majaczeniom”.

8. NĘDZA FILOZOFII

Jeśli już jesteśmy przy błędach myślenia, idźmy tą drogą. Nigdy potrzeba i aktualność filozofii kultury nie jest tak oczywista, jak w okresach przełomów, kiedy należy podejmować zasadnicze decyzje. Wówczas posilkowanie się określoną filozofią kultury pozwala rozumieć sens przemian, ocenić ich celowość, przewidzieć dalsze osiągnięcia i przeto ustosunkować się do nich negatywnie lub pozytywnie. Budzi współczucie bezradność znacznej części naszej inteligencji wobec tych spraw. Jest rzeczą jasną, że skończone zamknięte systemy filozoficzne nie mogą być spopularyzowane wśród mas. Ale każdy wychowanek gimnazjum posługuje się pewnymi rudymetami teorii filozoficzno-kulturalnych. Przyswoił sobie te najczęściej fragmentaryczne i niepełne punkty widzenia na lekcjach historii czy literatury, gdy mu wyjaśniano mechanizm przemian dziejowych, najczęściej powatane jakiegoś jednego, konkretnego zjawiska historycznego. Zwykle proces ludzkiej twórczości kulturalnej poznajemy w szkole na przykładzie powstawania wybitniejszych dzieł naszej literatury. Nic bardziej zawodnego niż taka belferska, domorośla filozofia kultury na literackim przykładzie. Przeniesienie tych uogólnień z dziedziny szczególnie związanej z twórczością indywidualną — na procesy inicjowane przez dążenia mas jak np. przemiany ustrojowe, musi prowadzić do karykaturalnych błędów. A niestety nasz inteligent z żadną inną filozofią kultury nie jest oswojony. Aczkolwiek nie umiałby może tego wyrazić tymi słowami, naiwnie trwa w przekonaniu, że podstawowe nie dające się już zredukować dane rzeczywistości kulturalnej dają się opisać w języku psychologii i jej praw. Podstawowe procesy kulturowe, determinujące wszystkie inne, są to dla niego procesy psychiczne w oderwanej jednostce ludzkiej. Uważa, że o tym uczy go psychofizyka, pozateoretyczne bezpośrednie doświadczenie. Ale winą ponosi tu oficjalna nauka, która hoduje tym samym bezkrytycznym przesądom. Wciąż jeszcze bardzo nieśmiało toruje sobie u nas drogę nowatorskie przekonanie, że podstawowe procesy kulturowe, determinujące wszystkie inne przejawy życia kulturalnego, nie dają się opisać w języku praw psychologicznych — tylko w języku swobodnych praw społecznych, języku socjologii. Ale też z tym faktem metodologicznym wiąże się empiryczny: to nie pojedynczy, oderwany człowiek i jego życie wewnętrzne jest najistotniejszym składnikiem rzeczywistości kulturalnej. Rzeczywisty człowiek — prawdziwie pełny — jest w zbiorowości.

Inteligent nasz możeby i pogodził się z takim ogólnym twierdzeniem. Ale gdy myśli o konkretnych szczegółach, bezwiednie posługuje się skrytykowanymi wyżej założeniami.

Stąd właściwa część naszej inteligencji lekceważąca postawą wobec przemian ustrojowych. Niedoceniając ich decydującej roli dla przeobrażeń wewnętrznych jednostki dla przeobrażeń całego stylu, smaku, treści życia kulturalnego. Stąd niewiara w socjalizm. Spór między lewicą społeczną a częścią inteligencji polega między innymi i na tym, że oni chcą stworzyć nieokreślony „lepszy świat”, z którego znają tylko funkcjonalnie z oczekiwanym układem stosunków powiązane tęsknoty i dyspozycje psychiczne, osobiste, gdy my chcemy zbudować po prostu, konkretnie nowy ustrojowy, o którym wiemy, że determinuje w pożądanym sposób cały układ stosunków kulturowych. Dążymy nie do zaspokojenia tęsknot — niezwykle nieuchwytny program; ale do urzeczywistnienia konkretnych potrzeb przemiany systemu produkcji.

9. KRAJ NIEZNANY

Nie doceniają przemian ustrojowych, wobec tego nie interesują ich dzisiejsza Polska. Mam żal do pisarzy. Polska dzisiaj

szła jest krajem nieznanym. Kto i gdzie opisał nam, ujął cyfrowo — czy beletrystycznie te procesy emancypacyjne mas, które wiążą się z reformą rolną? Czy wiemy coś o uniwersytetach ludowych, gdzie są, jakie, kto do nich chodzi, czym ci ludzie żyją, co czytają, czy są agrarystami jak przed 1939, czy szukają nowych dróg? Podobnie cała społeczna strona spółdzielczego przeobrażenia się procesów wymiany. Wróg demokracji powie ironicznie: nie piszą, bo nie ma o czym pisać. Wiem, że to jest nieprawda.

Oczywiście — żaden z procesów społecznych nie dojrzewa i nie owocuje w ciągu miesięcy. Wiem na przykład, że spółdzielcze formy wymiany nie oddziaływały jeszcze na kształtowanie się cen, tak, jakby teoretycznie rzecz biorąc mogły. Lecz właśnie trzeba analiz, wskazujących jakie konkretne niedociągnięcia udaremniają jeszcze ten zbawienny wpływ.

Dość stykam się z różnymi środowiskami, dość blisko obserwuję funkcjonowanie związków zawodowych, wpływ ich centrali na sprawy państwowe, by widzieć, jak te nowatorstwa ustrojowe przeobrażają oblicza ludzi, konkretnych, pojedynczych określanych społecznie przez funkcje tych instytucji.

Chciałbym aby pisarze pomogli części naszej inteligencji przestać być emigrantami wewnątrz kraju. Trzeba im ten nowy kraj i nowych ludzi pokazać. Trzeba na przykładzie tego stawania się nowej Polski uwidatnić pierwszoplanowość przemian ustrojowych. By nauczili się cenić to wszystko, o co walczą i co osiąga lewica społeczna, masy ludowe.

Lecz do tego trzeba poszerzenia horyzontu doświadczeń kulturalnych i poza

ADAM WAŻYK

U źródeł nowatorstwa w poezji

Na temat nowatorskiej poezji lat międzywojennych ukazały się dotąd zaledwie tylko dwa artykuły, pobieżny — Jana Kotta p.t. „Powrót do rzeczywistości w poezji” („Odrodzenie” Nr. 18), obszerniejszy — Kazimierza Wyki „Między dwiema wojnami” („Kuźnica” Nr. 4 — 5). Temat ten będzie jeszcze nieraz w rozmaitych celach poruszany. Uwagi, które pozwolę sobie tu podać, dotyczą ogólnego podłoża prądów nowatorskich, dlatego też trzeba będzie cofnąć się daleko wstecz poza tamtą wojnę.

KILKA ANEGDOT

We wspomnianym artykule Kazimierz Wyka, wskazując na stałe opóźnianie się u nas ruchów literackich w stosunku do wielkich krajów, zwrócił uwagę na to, że na kilka lat przed tamtą wojną Włochy, Rosja, a w pewnej mierze i Francja znała już ruch futurystyczny, ponadto Francja miała już kubizm w malarstwie (oraz co ważniejsze poezję Apollinaire'a i kubistów, słowem ostatniej cyganerii Montmartre'u), gdy u nas było o tym głucho. Jako ciekawy przykład opóźnienia Wyka przytacza bohaterów Żeromskiego. „W uczenie snobów pod koniec „Zamieci” występuje taka pani Horn, żona dziennikarza która do szafu, do ostatnich granic ekstazy uwielbiała wszystko, będące niejako na kadencji mody w muzyce, malarstwie, na scenie”. Zaraz powinny paść słowa: cubistes, futuristes... nie padną w Polsce aż po skończeniu wojny”.

Po prawdzie w jednym z czasopism polskich, nie pamiętam w jakim, jeszcze przed wojną ukazały się i wiersze futurystów włoskich i artykuły informacyjne o tym ruchu, ale to właśnie dodaje pikanterii uwadze Wyki. Pani Horn, uwielbiana wszystko co było na kadencji mody, mogła rozkoszować się tylko modą czy inowacją w zakresie ówczesnej „modernity”, a nie mogła nawet przyjąć do wiadomości wyczynów, które w pojęciach estetycznych były wściekłym naskokiem na te wszystkie mody wzięte w czambuł. Podobnie jak pani Horn zachowali się u nas później, po wojnie, prawie wszyscy krytycy i esenciści starszego pokolenia mieszczańskiego, próbowali ignorować, a dopiero później lekceważyć ruchy, które dzisiaj uchodzą na uniwersytetach naszych za odnowicielskie.

Od 1906 roku, zaczęły w poszczególnych krajach padać na estetykę symbolistów i nastrojowców brutalne ciosy bokserkie. Takie skandale nie dzieją się nigdy w granicach autonomiznego rozwoju sztuki, ale mają źródło w zmianach społecznych i znamionują poważne zmiany okresu historycznego. W wypadku futuryzmu, który solidnie mieszczaństwo potrafiowało, jak wybrzyk karczemny, zmianę charakteru społecznego rzucić w oczy. O futuroach nie raczyła wiedzieć pani Horn, ale słyszyli o nich w Polsce jeszcze przed wojną „wykolejeńcy” i „degeneraci”, jak nazywano

nasz kraj. Trzeba przewyciężyć paraliżujące swobodę myśli wpływy propagandy faszystowskiej. Wiemy, że główny jej ogień skupił się na Związku Radzieckim. Dziś prawie wszyscy w Polsce rozumieją potrzebę sojuszu ze Związkiem Radzieckim — ale ciągle nie wielu go zna.

Tymczasem sens współczesności i jej tendencji rozwojowych pojmie tylko ten, kto zrozumiał kraj Rewolucji Październikowej. Tak jak sens przemian w początkach XIX wieku mógł pojąć tylko ten, który zrozumiał Rewolucję Francuską, jej konieczność i jej wpływ ogólnoeuropejski.

Dla sensu historycznego naszej epoki decydującym wydarzeniem była Rewolucja Październikowa. Ona odsoniła to wszystko, co jest twórcze, narastające w kulturze naszej doby.

Trzeba się przyrzeć dwu nieznanym krajom, aby zrozumieć siebie.

10. RACHUNEK SUMIENIA

Lecz my, lewica społeczna, czy zrobiliśmy wszystko, aby naprawić te niespalsne zaiste mosty, które wiodą do serca i umysłu każdego inteligenta? Napewno nie!

Po pierwsze: okres okupacji, konspiracyjną historię Polski, podziemne walki o orientację przeżyło bezpośrednio bardzo niewiele. I ci tylko są naprawdę obywatelami współczesności. Cała reszta żyje w świecie ideowym sprzed 1939. Obowiązują ciągle dawne linie podziału. Działacze, skompromitowani doszczętnie w konspiracji, cieszą się spokojnie przedwojennym autorytetem. Działacze nowi, wyrosli w podziemiach, są nieznanymi, nie budzą zaufania. Musi zostać i to szybko, najszybciej spopularyzowana historia polityczna podziemnej Polski, aby wszyscy mogli tak

samo jak my, konspiratorzy, oceniać fakty i ludzi. Bo na razie brak im danych. A na wiarę naszych pochwał i nagan — myśleć i czuć nie chcą. I mają rację. Trzeba rzecz dobrze znać, aby ją trafnie oceniać.

Po drugie: od iluż lat ładunek ideowy polskiej lewicy jest nieodnawiany? Mówmy prawdę. Nie ma ani jednej marksistowskiej książki z okresu lat międzywojennych, polskiej książki, teoretycznej. Tych książek i dziś się nie pisze. Zle gospodarujemy ludźmi. Dotąd nie stworzyliśmy ośrodka poważnych studiów teoretycznych. Stąd nasza publicystyka, która nie ma co popularyzować, jest trywialna i nieprzekonywująca. Tylko twórczy, naukowy ruch marksistowski w Polsce przekona naszą inteligencję, że lewica społeczna reprezentuje żywe siły kulturalne o wartości ogólnoludzkiej.

Po trzecie: ruch lewicowy w Polsce zawsze był ruchem mas, inteligencji tkwiący w nim byli nieliczni, zwłaszcza jeśli idzie o ludzi z wyraźnym autorytetem społecznym. Stąd wystąpienia ideologiczne naszej lewicy były rzadkie i nieśmiałe. Tymczasem walka o inteligencję, to walka ideologiczna. Jej powodzenie zależy od zdecydowania, nasilenia, śmiałości ofensywy ideologicznej. Otóż i dziś jesteśmy nadal nieśmiali i bezbarwni. Trzeba nam wystąpić odważnie, jasno, atrakcyjnie.

Bo powtarzam: dziś jest nas i w środowisku inteligentckim wielu — a mosty prowadzące do innych nie są bynajmniej spalone. Powodzenie zależy od planowości. Trzeba podjąć celową konsekwentną, wyposażoną w środki i ludzi ofensywę ideologiczną.

Stefan Żółkiewski

w mieszczaństwie deklasujące się elementy inteligencji. Od takich to ludzi bez określonego przydziału sam miałem zaszczyt dowiedzieć się w dzieciństwie, że ktoś we Włoszech i w Rosji rzuca na białe płótno płamę i podpisuje pod tym obrazem: „Fortepian”. A w latach pierwszej okupacji niemieckiej, w pierwszej gimnazjalnej miałem kolegę z bardzo upośledzonej rodziny drobnomieszczańskiej, chłopca, który nie nadzwyczajnie czytał, ale za to imponował mi wspaniałym wyzwiskiem: „futurystyczna malpa!”.

W OKRESIE IMPERIALIZMU

O tym wszystkim nie wiedział Jan Kott, bo go wtedy nie było jeszcze w świecie. Pisząc niedawno w „Odrodzeniu” bardzo ciekawie, jak to prądy ekstremistyczne pojawiły się w poezji, kiedy zachwiana została stabilizacja pokazywałych warstw mieszczańskich. Kott nie baczącnie przeciągnął okres stabilizacji aż do samej wojny 1914 r. Z perspektywy lat powersalskich, czasy wojen bałkańskich mogły się rzeczywiście wydać miłą i nudną sielanką. Tymczasem od 1890 roku świat wkroczył w nowe stadium kapitalizmu, nie nadajemy nazwane imperializmem. Wzrosła potężnie bezczynna warstwa rentierów, ale stabilizacja mieszczaństwa i warstwy arystokracji robotniczej, oparta na stosunkach gospodarczych z okresu ekspansji kolonialnej i surowcowej eksploatacji terenów zamorskich, została już zachwiana po kilku latach. Przedsiębiorstwa przechodziły w ręce banków, inwencja techniczna nabierała rozpędu w życiu gospodarczym i wytwarzała się rezerwa armia bezrobotnych. Wzrosła zapotrzebowanie na inteligencję i niepewność jutra rozciągała się na pracowników umysłowych. Wielkie strajki polityczne przechodziły w fale rewolucyjne. Nerwowość giełdy, zatrata oszczędności drobnego ciulacza i nowe widoki kariery w koloniach w związku z wywozem narzędzi produkcji — to wszystko znała już Europa przed tamtą wojną. Były rzeczy w okresie powersalskim, których przedtem Europa nie znała, ale takie właściwości imperializmu, jak skoki gospodarcze i techniczne, powodowane nierównomiernym rozwojem i potęgowane działaniem kapitału finansowego, jego brutalną walką z kapitałem przemysłowym niszczyły i zmieniały dawny obraz życia, a co w tym wypadku najciekawsze, nakreślały dla inteligencji nowe linie losu.

Zmiana warunków odbywała się gwałtowniej w krajach, które — jak carska Rosja i Włochy — były bardziej zacofane gospodarczo, bardziej upośledzone i niefortunne w rodzinie państw imperialistycznych, aniżeli w krajach przodujących pod względem industrialnym. Gwałtowniejszy był także ruch rewolucyjny, wytrącający inteligencję z bezwładu.

Pracownik umysłowy nie odwykił jeszcze od łagocnych i nieco patriarchalnych stosunków w burze fabrycznym, gdzie pracodawca cenil jego walory osobiste, gdy nagle tracił z nim

kontakt, stawał się pionkiem w wielkim biurze przedsiębiorstwa, rządzonego przez niewidzialne siły finansowe. Zrównany w losie społecznym z proletariatem, tym się jednak od niego różnił, że wciąż jeszcze traktował swój los indywidualnie. I faktycznie otwierały się przed nim nowe możliwości, podejrzanie zająca wymagające energii, łupetu, sprytu, pomysłowości. Okres ten nie wytworzył jeszcze znanej z późniejszych międzywojennych czasów warstwy pracowników umysłowych skazanych na chroniczne bezrobocie. Natomiast z mieszczaństwa i mieszczańskiej inteligencji wyruszały się elementy tworzące swoistą warstwę lumpiarską, ludzie o zmiennym źródle dochodów, pośrednicy intelektualni, oddający swoją pomysłowość na usługi nowych metod konkurencji handlowej... Giełda, akwizycja, reporterka, reklama, kinematograf... Niedoszli wynalazcy, impresario i totumfacy, o wrażliwym z konieczności życiu rodzinnym i nadzarpniętych więzach moralnych... Z czasem niektóre z tych awanturniczych zajęć miały się ustabilizować i uzyskać szacunek zachowawczego mieszczaństwa. Z początku jednak oznaczało to wyjęcie poza normę ustalonego życia, wykołajanie, które odbywało się boleśnie i przeciwstawiało te elementy, zrodzone z monopolistycznych stosunków gospodarczych, dawnemu statycznemu mieszczaństwu. Ruchy rewolucyjne w Rosji i we Włoszech rozpały ich wyobraźnię... Zwywołowo wkładali w dążenia mas ludowych swoje anarchizujące dyspozycje, nienawidząc do zachowawczych obyczajów mieszczaństwa, przekorę marnotrawnego syna wobec statycznej burżuazji, która pasowała się na strażnika cnót ewangelicznych, tradycji narodowej, świętości muzealnych. Nowa formacja inteligentcka wydała w tym momencie artystów, którzy dla tych właśnie obrachunków zapożyczyli od ruchów robotniczych formy działania manifesty, publiczne wystąpienia. Policzowali estetykę symbolistów, jakoby bijąc po twarzy mieszcza. Rozbijali zasady i reguły zastanej sztuki, gloryfikując rozwój techniczny swojej epoki i wyciągając z niego wnioski, które miały gnuzliczy rumieniec świeżości.

W poprzednim numerze „Kuźnicy” w dniu 13 listopada: Paweł Florczyk — Ciemnogród szturmuje, Mieczysław Jasirun — Godzina myśli — wiek poezji, Ludwik Hering — Meta, Artur Sandauer — Dobrze, Majakowski, Jan Kott — Przedwiośnie — ocena po latach, Stanisław Majewski — Organizowanie międzynarodowej współpracy kulturalnej, Henryk Ułaszyn — Jeszcze straty wśród polonistów, Stefan Żółkiewski — Sławy Dworski, N. G. Akademia nauk w ZSRR — P. I. Kronika Kulturalna ZSRR, Adam Ważyk — Wschód i Zachód O. D. — Nowe książki, Witold Kula — Kronika ekonomiczna, P. h. — Przegląd prasy — Noty.

U źródeł nowatorstwa w poezji

FUTURYZM.

Kult techniki, rozpetany zwłaszcza w futurystycznym włoskim, był odzwierciedleniem tego momentu, kiedy skok techniczny stanowił najświetniejszą broń bankiera w walce z przemysłowcem, kiedy ciągle rewolucjonizowanie narzędzi wydawało przedsiębiorstwa w jego ręce, dopóki nad tym dwuznacznym postępowaniem nie zapanowała nieuchronnie hamująca tendencja zwycięskiego kapitału monopolistycznego, polegająca na chowaniu wynalazków pod suknem. Podobnie było z wizjami industrializacji, od których robotnik odwrócił się ze wstrętem, bo ukazywały masy ludzkie odarte z życia osobistego. Wizje futurystów i urbanistów prorokowały jakoby nieograniczonego rozwoju sił produkcyjnych, gdy tymczasem obnażała się już prawda o spadku produkcji i gnieciu tych sił. Ruch dla samego ruchu, uwielbienie tempa przemiany, dynamika, która miała określać charakter nowej epoki, rzeczywiście ukazywała tylko pół twarzy tego fatalnego dynamizmu, który rozwija technikę i pomnaża bezrobocie.

Słowem w futurystycznym włoskim objawił się bohaterski okres kapitału monopolistycznego. W siedzibie bohatera siedział kościotrup.

Wielki kapitał finansowy we Włoszech, chcąc wciągnąć do imprez kolonialnych przez akcje giełdowe zasoby statecznej burżuazji i oszczędności drobnego mieszczaństwa, miał do pokonania dodatkowe trudności natury psychicznej. Podobnie jak niegdyś w końcu 18-go w. rozwój kapitalizmu opóźnił się w Niemczech także z przyczyn atmosfery psychicznej, bo zaważał mu ślepy, sentymentalny duch mieszczaństwa groźnego, tak i w czasach wywozu kapitału do kolonii atmosfera kraju turystycznego, biernie gromadzącego dobro, ciągle wygrzywanie przeszłości w życiu duchowym, ospałość wsparta na wspaniałościach muzeów i marmurowych ruin, była dodatkową przyczyną słabości Włoch w konkurencji imperialistycznej, przeszkodą w walce kapitału bankowego z oporami środowiska. Rola duchowego burzyciela tej przyszkody przypadła Marinettiemu, choć po dojściu do władzy faszystów wcale nie kwapił się burzyć obiektów, przyciągających turystów.

Od pierwszej chwili futurystyczny Marinetti tracił awanturę kolonialną, głosił też niedwuznacznie kult brutalnej jednostki i stadniną bierność kolektywu, prototypu, który miał się wcielić w wodza faszystowskiego i jego kolekcje czarnych koszul. Zrazu mniej były przejrzyste pomysły francuskiego unanimitów, którzy odrzucali duszę indywidualną dla kolektywnej, widzieli „jednoduszną” grupę społeczną w tłumie przypadkowo zebranych na ulicy. I z tego nie mogło wywazać się nic innego, jak stosunek wodza do tłumy w duchu faszystowskim.

Futurystyczny włoski był tak jednoznaczny, że raczej należy się zdumiewać. Nie można powiedzieć tego o zagmatwanych rysach futurystycznego rosyjskiego, który wymagałby oddzielnego omówienia. Warto jednak zwrócić uwagę na okoliczności ogólne. W Rosji, gdzie kapitalistyczna gospodarka odrabiała czas stracony na utrzymanie pańszczyzny, poeci symbolizowali w swoich apokaliptycznych wizjach miasta przeżywały złudzenie narodników, jakoby przemysł w ich kraju był przypadkowym grzechem do zmycia. Futurysty wystąpili z dwuznacznym uznaniem industrializacji, co było raczej podobne do aktów wisielczej rozpaczki i przybierało u Majakowskiego grymas chimeryczny. Również dwójsty był stosunek do ruchu rewolucyjnego. Żywiołowa sympatia walczyła ze zwątpieniem inteligencji, odstrzeżonej po doświadczeniach 1905 roku od rewolucji i przyciąganej przez siły reakcyjne nowymi ideami mocarstwa wimy. Stało się jednak tak, że nie imperializm, ale zwycięska rewolucja miała pokierować losami poetów. Nie dawa im innej drogi rozwoju jak przez pokonanie w sobie anachistycznych nałogów uczucia i wyobraźni, przez zwycięstwo sprzeczności między jednostką a kolektywem, przez odbudowę myśli humanistycznej. Była to droga Majakowskiego. Futurystyczne wybuchy poezji rosyjskiej, które dotarły do Polski po wojnie, brano u nas za wynik rewolucji, gdy tymczasem w ogniu rewolucji eksplodowały ostatnie bomby nagromadzone przed wojną lumpiarskiego dynamitu.

POWRÓT DO ŚWIATA.

Nierównomierność rozwoju w okresie kapitalizmu monopolistycznego zaważyła na całym stanie kultury. Gwałtowne skoki techniczne i rozwój wiedzy ścisłej zdystansował myśl humanistyczną, nie mówiąc już o rozdarciu w samym zakresie nauk ścisłych. Musiało to znaleźć odbicie w twórczości artystycznej. Stąd przede wszystkim brak szerszego nurtu ideologicznego i rozproszenie koncepcji estetycznych.

Nie było jednolitego prądu nowatorskiego, były tylko bystre i krótkie strumienie górskie, wobec których dawny impresjonizm czy symbolizm mógł wydać się szeroko płynącą rzeką.

Ta właściwość okresu zaczęła ujawniać się na kilka lat przed wojną, kiedy układ stosunków na tyle się już przekształcił, że powstała nowa formacja inteligencji, która dała o sobie znać na terenie sztuki.

We Francji, która była głównym siedliskiem ruchów poetyckich od połowy ubiegłego stulecia, manifest futurystyczny okazał się jedną z wielu przygód Apollinaire'a. Przygoda zakończyła się w areszcie, bo tępotna policja posadziła poetę o kradzież Giocondy. Niektóre cechy futurystów, jak kult zmysłowości, występowały w początkach nowatorstwa francuskiego, nigdy w nim nie górując. Nie było też miarodajne programowe uwielbienie dla świata techniki, które sporadycznie wybuchało tuż po wojnie. Francuska kultura poetycka miała zbyt wielką dojrzałość, aby zatracić cechy humanistyczne nawet w pierwszym impetu ostatniej cyganerii Monmartre'u. Wieża Eiffla wtargnęła do poezji przebrana za pasterkę, a samoloty podczas pierwszego nalotu śpiewały.

Francja tych czasów była zubożoną metropolią, bo dobrze wyszła na podziale kolonialnym świata. W imperialistycznym okresie kontrastów nie wkroczyła tak gwałtownie, jak Włochy czy Rosja, słabsze też były ruchy rewolucyjne. Ale sojusz mieszczańskiego i chłopskiego radykalizmu z ruchem robotniczym, zawarty w okresie sprawy Dreyfussa należał już do przeszłości, wśród inteligencji warstw średnich szerzył się prąd „odrodzenia religijnego” zwrócony przeciwko materializmowi mieszczańskiemu.

Uczucia religijne robiły postępy w poezji, gdzie trafiały na bardzo podatną estetykę symbolizmu. Nowatorzy zakłócili ten proces, wnosząc burleskę, żart, niespodziankę. Nawet taki poeta jak Maks Jacob, mimo że nawrócony, przez długi czas nie był brany za katolika na serio, tak mało było w jego wierszach statecznego uczucia a tak wiele podejrzanych skoków wyobraźni. Sztydzący z religii Apollinaire uprawiał, jak sam to twierdził, mistyfikacje, aby się bronić przed mistyką. Przejrzystym i zastanawiającym przykładem tej praktyki był poemat „Zone”, wielokrotnie u nas tłumaczony (znam trzy przekłady nie licząc własnego), który na ogół nasi poeci lat międzywojennych brali do broszurek, lub przez zbytek perfidii, za utwór religijny. Złożony z elementów realistycznych, opisowy, ironiczny i zarazem liryczny, nawiązywał do jakiegoś nizinnej warstwy piśmiennictwa, przypominał naiwną formą, niedołązną na pozór wersyfikacją, niebywałymi prozaimami, wierszowanymi tasiecmie jarmarczne. Nazwa, która tłumaczy się jako „Strefa”, oznacza w tym wypadku dzielnicę Paryża napół przemysłową, napół rzemieślniczą i cygańską. Czytając ten poemat po wielu latach, wciąż widzę w nim kapitalny wstęp do całej nieomal poezji nowatorskiej. Odkrywca rzeźby murzyńskiej i teoretyk kubizmu znalazł tu jedną z form najbardziej usprawiedliwiających rozluźnienie spójni tematycznej, tę właściwość tak rozpowszechnioną później w poezji lat międzywojennych.

Kubizm w malarstwie wiązał się z odpowiednikami literackimi dość głęboko. Podobnie jak plastycy przeciwstawiali impresjonizmowi typu Moneta i Sisyła bardziej obiektywne normy optyki malarskiej, tak samo poeci w walce z symbolizmem typu Laforgue'a i Maeterlinga przywracali konkretny sens obrazom poetyckim. W podobny sposób i jedni i drudzy łączyli postulat temperamentu dyktującego wizję reguły obiektywnej, jakoby nawet naukowej, która ją ma ukształtować. Rzeźba murzyńska, inspirowana kubistami, była dla ich produkcji niejako półfabrykatem. Na ciemnym magicznym szczeblu kultury, podobnie jak na nieoświeconych szczeblach piśmiennictwa jarmarcznego, wykryto cechy pociągające, pokrewne dopiero ujawniającemu się uosobieniu w sztuce; bo na niepomnie wyższym szczeblu artysty dochodził do dysocjacji tematu i do poszukiwania reguł, które by ją usprawiedliwiały. A przecież ci wyklinali za swoje upodobania geometryczne kubiści byli bardziej zainteresowani światem rzeczywistym od impresjonistów, podobnie jak nowatorzy — od symbolistów. Układ realistycznych elementów, dobieranych jakoby według osobistego temperamentu, w każdym razie bez odwoływania się do jakichkolwiek metafizycznych uzasadnień, był pierwotnie także podświadawą nadrealizmem, w ujęciu Apollinaire'owskim, zanim przechwytało tę nazwę na rzecz podświadomości. Zainteresowania poetów przesunęły się co najmniej na pewien czas z uczuć własnych na świat zewnętrzny, nadrealizm miał ukazywać rzeczy takimi, jakimi są naprawdę, a nie jakimi się wydają. Ale skąd miał wiedzieć artysta, jakimi rzeczy są, kiedy równocześnie cała myśl mieszczańska, poparta w filozofii pragmatyzmem, konwencjonalizmem, witalizmem, skupiała się po to, aby sprowadzić to pytanie do niedorzeczności i uchylić dążenie do obiektywnej prawdy?

Zainteresowanie światem zewnętrznym, tonięło w urokach magizmu.

PRÓBA OPTYMIZMU.

Pobudką do nowatorstwa było uznanie, że świat się zmienia, afirmacja zmiany, optymizm, tyle osobliwy, że nie szedł w parze z trwałą myślą humanistyczną. Ten optymizm był cechą wszystkich ruchów poetyckich aż do jakiegoś 1928 roku i kiedy mówi się o nowatorstwie, trzeba zakreślić tę granicę: tutaj kończył się okres przemian formy i techniki poetyckiej.

Nie był optymistyczny ekspresjonizm, który wyrósł w Niemczech z klęski wojennej, zanikł, a potem niepostrzeżenie przesiąkł do poezji innych krajów po innej klęsce, po wielkim kryzysie strukturalnym 1928 — 32 roku, ale też ekspresjonizm był zawsze wyklinalny przez nowatorów.

Wewnętrzna sprzeczność tego optymizmu ujawniła się krańcowo u dadaistów. Ci odrzucali wszelkie wiązki rozumowe, a przeciwieństwo ich belkotu całkiem pogodna i nawet wesoła odwarzała to samo „tempo współczesnego życia”, którym nikt by się nie uwodził, gdyby nie miał do niego zaufania. Inni okazywali jawne zaufanie do umysłu ludzkiego przynajmniej w dziedzinie rozwoju techniki. Wszyscy nowatorzy, czy chcieli czy nie chcieli „organizować” odziedziczonego po Rimbauldzie „nieporządku własnego umysłu”, ulegli optymistycznemu złudzeniu, że postęp techniczny jest równoznaczny z postępowaniem w ogóle.

Optymizm ten przetrwał wojnę i zmieszał się na krótki czas z rewolucyjnym podnieceniem, które nazajutrz po wojnie uderzyło się drobno-mieszczańskimi inteligencjami. W atmosferze tego podniecenia zdawało się, że estetyka symbolizmu została wymieniona na zawsze pod naporem potocznego języka, codziennego słownictwa, wulgaryzmów, prozaimów, gwary ulicznej. W całej Europie na chwilę w jednym kotle sklebiły się antyhumanistyczne wrzaski futurystów włoskich, deklaracje mieszczańskiego pacyfizmu i żywiołowe uniesienie, czerpiące pobudkę z rewolucyjnego ruchu mas, a wzór poetycki — z amerykańskiego ludowego piewcy demokracji Walta Whitmana. Rozmach międzynarodowego patosu, który przechodził w rytmizowaną prozę, stał się objawieniem dla całej ówczesnej generacji.

W stosunku do wojny było to skutkiem jej skutków. Wojna zakończyła się niespodzianką dla sił imperialistycznych, które ją prowadziły. Szósta część świata wyszła poza obręb gospodarki kapitalistycznej, rewolucja październikowa zaczęła budować inny ustrój. Podniecenie mas w pozostałych krajach Europy trwało przez kilka lat i miało się po każdym kryzysie odnawiać, tymczasem życie duchowe inteligencji w małym stopniu zbliżało się do praktyki społecznej.

Pracownicy umysłowi weszli w skład starej armii bezrobotnych, wytworzonej w tym nowym stadium gospodarczym. Wielki kryzys 1928 — 32 obnażył nieuleczalną chorobę kapitału monopolistycznego, ale jak każdy kryzys, osłabił na chwilę walki klasowe. Z tego pośredniego rozejmu skorzystały siły reakcyjne, aby zorganizować kadry faszystowskie i przejść do rozbrajania ruchów rewolucyjnych w następnej fazie.

Otóż ten wielki kryzys strukturalny zmiażdżył ostatnie optymistyczne złudzenie inteligencji, jeśli nie zdołała zatracić jej przedtem. Od tego czasu nikt już nie spostrzegł, że technika człowiek idzie naprzód. Wszyscy wiedzieli, że produkcja i ludzie idą wstecz. Nie mówią oczywiście o piewcach późnego imperializmu, o faszystach i podmokłym optymizmie ich poezji.

Odtąd zaczęła się ponowna ucieczka poetów w głąb siebie.

Ukresu tej ucieczki niekoniecznie czekała na nich religia. Psychoanaliza mogła zastąpić wiarę w duszę. Koncepcja poezji czystej mogła rozciągnąć tę wiarę. Można było, opierając się tym pokusom, zakrzepnąć w stoicyzmie własnych kanonów formalnych. Ale nie było już nowatorstwa, nie było go we Francji i nie ludźmy się, że był u nas.

Na naszym terenie wiezy poezji młodopolskiej pękły dopiero po wojnie. Wszystko odbywało się w opóźnieniu i skrócie, zbiegało się z podnieceniem rewolucyjnym pierwszych lat po wojennych i nieuchronnie wchodziło w sferę rodzimych obrachunków kulturalnych. Nazajutrz po wojnie odkłamaną w poezji duszę, wieczność i wyjałowiony język symbolistów. Było to w znaczniejszej mierze dziełem sezonowych futurystów, niż poetów późniejszego „Skamandra”, którzy sobie całą zasługę przypisywali. Odsobnione próby nowatorstwa, objawy niepokoju technicznego, na tle rozluźnienia czy zerwania spójni tematycznej, przygotowały ten spójny suknę do formy poetyckiej, który przyjęła późniejsza generacja, występująca pod nazwą „awangarda”. Ale wtedy już, około 1930 roku, złudny optymizm należał do przeszłości — naturalnie nie trzeba z tym mieszać koniunkturalnej poezji „wyciągu pracy” — zaczęły wybierać powrotne tendencje: rozterki i bóle duchowe, rozpacz i odczucia katastroficzne, wycieczki w krainę wieczności, tak gruntownie obecne pierwszej dacie nowatorom. Formy „awangardowe” okazały się równie przydatne dla tych tendencji, jak formy neosymbolistów, a miały tę wyższość, że bardziej odpowiadały rozbiciu postawy duchowej.

NIEPOKÓJ TECHNICZNY.

Mówi się często o tym, że poezja nowatorska podnosiła zasadę „eksperymentu artystycznego”. Jeżeli nawet poeta głosił eksperyment, była to tylko ryzykowna przenośnia. Eksperyment jest obiektywnym procesem pracy naukowej, doświadczeniem, które nie stapia się ze swoim celem. W kamery Wilsona wytwarza się pole elektromagnetyczne, aby poznać naturę elektryczną cząstek materii. Chcąc zbadać działanie bakterii, szczepi się świnki morskie. W literaturze nie ma kamery Wilsona ani świnek morskich, autor może ogłaszać utwory nieukończony czy jeszcze w pojęciu własnym nieopracowane, wynik będzie zawsze zawarty w ogłoszonym utworze. Nawet w sferze subiektywnego poczucia nie ma analogii między pracownikiem naukowym a poetą. Co innego, kiedy ludzie życzliwi, nie licząc na zainteresowanie szerszego grona utworami jakiegoś poety, uważają je za pracę „laboratoryjną”, pocieszają autora, że przyda się „ona innym do innych prac”. Przyjęcie tej pociechy mogło być dla poety tylko gorzką rezygnacją, wtedy „eksperyment” stawał się po prostu osłoną samotności.

Zjawisko, które uchodzi za eksperymentowane artystyczne, miało zupełnie inny, powódź — poważniejszy charakter. Może słuszniej byłoby nazwać je niepokojem technicznym. Poeta nie godził się na formy znane już i przyjęte, zmieniał i odnawiał środki poetyckie. Czy był to popęd do wynalazczości, czy walka?

Jedno i drugie przenikało się wzajemnie. Jedno było odbiciem pewnego stanu kultury, kiedy to z pojęciem wartości natarczywie kojarzyła się cecha inwencji. Źródłem tego stanu była inwencja w świecie techniki, ale nie wystarczyłoby same nagromadzenie wynalazków w tym czasie. Model samolotu, odbiornik radiowy, aparat kinematograficzny nie mógł nawet w okresie swoich przekształceń technicznych wpłynąć na pojęcie wartości w sztuce tak samo jak coraz to inne opakowanie i oryginalne zapachy mydełek toaletowych wypuszczanych na rynek przez konkurujące ze sobą kartele z pewnością nie działały na dyspozycję poetów. Ale każdej inwencji technicznej produkcja kapitalistyczna w tym okresie nadawała tajemniczą siłę, która przekształcała przedsiębiorstwa, niszczy stare, buduje nowe. Magia wynalazku wykraczała poza naukowe tajemnice techniki, stawała się przemożną siłą zdolną do przewracania naopak stosunków gospodarczych i ludzkich. W tej to promiennej glorii pojęcie inwencji przeniknęło i do innych dziedzin, wytworzyła się w sztuce wrażliwość szczególna na zmianę środków, inowację formy. Odrzucając stare reguły i znajdując nowe, poeta miał nie tyle poczucie wynalazcy, ile satysfakcję człowieka przekształcającego świat. Niepokój techniczny pochłaniał jego energię sprzeciwu moralnego, odczuwał „eksperyment” jako walkę prowadzoną przez siebie z uznanymi regułami, dlatego, że stanowiły wykładnik ustalonej, a odrzucającej przez niego, kłamliwej treści humanistycznej. Kłamliwej, bo nie pokrywała się z praktyką społeczną. Nie mogąc zdobyć się na inną, prawdziwszą, prowadził boje o „nowe formy”, bez jasno określonych celów ludzkich, moralnych, społecznych, choć cele takie mogły mu być znane i bliskie. Słowem, nie mogąc na terenie sztuki przenieść walki o przewrót w życiu społecznym, robił przewroty w formach sztuki.

Adam Ważyk

CHOCHLIKI W „KUŹNICY”

Chochliki drukarskie, na które ostatnio cała prasa łódzka skarży się z racji przeciążenia drukarni, nie omijają i „Kuźnicy”, przeciwnie, w ostatnich numerach bardzo ją często odwiedzają.

Oto ich najszpetniejsze psoty z ostatniego numeru. W rubryce „Rozmaitości” zdanie o stosunku Boga do literatury francuskiej powinno brzmieć: „Miał określone upodobania, cenil nuri racjonalistyczny, moralny”. — A tymczasem wyszło coś bardzo dziwnego, Inny, młodopolski chochlik zemdlił się na Jastrunie i w zdaniu: „Słowacki degradował swój pierwszy dojrzały utwór”, przemycił pokraczny — „stwor”, zniekształcił również cytując ze Słowackiego: — „W ciełej fall wstawiała każdego wieczora”. W nocie pt. „I. K. P.” zdanie „I miskie w I. K. P.” powinno brzmieć „I właśnie w I. K. P.”, a tuż obok dziwotwór „Przyjmując Redakcji” zastępuje proste „Przypominając Redakcji”.

Wiadomo — gdzie skaczą iskry, tam chochliki tańczą.

LIST DO REDAKCJI

W związku z zamieszczoną w numerze z dnia 28.10. notą pod tytułem „Potęga szalbierstwa” pozwolę sobie poinformować Sz. Redakcję, że pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego kryje się osoba Romana Dmowskiego.

Z. Nieckiewicz

STANISŁAW EHRlich

VENIA LEGENDI czyli OKOPY ŚW. TRÓJCY

Z konferencji, jaka w dn. 29.IX odbyła się pod przewodnictwem prez. Bieruta dowiedzieliśmy się, że niesłychany pęd do wyższych studiów (90.000 kandydatów!) stawia rząd wobec konieczności rozbudowy szkolnictwa na niewidzianą w Polsce skalę. Z głośnych przed wojną tablic statystycznych Wittlinowej wiemy, jak niezdrowy, jak wypaczony był skład społeczny masy studenckiej. Akcja podjęta przez związki zawodowe i partie polityczne po pewnym czasie — mimo napotykanego trudności — napewno doprowadzi do zwiększenia odsetka studentów — synów chłopieckich i robotniczych.

Natomiast przeobrażenie ideologiczne ciała profesorskiego, to bardziej złożona sprawa. Wiele na to wpłynęło czynników, że niektóre z naszych uniwersytetów czy mówiąc ostrożnie wydziałów stało się bastionami wsteczności.

Myszę, że narzekania na wsteczność, nepotyzm itd. będą bezpłodne dopóty, dopóki nie zostaną usunięte warunki, które sprzyjają ich ugruntowaniu. Szeroki ogół inteligencji mało zdaje sobie sprawę, jaką rolę odegrała tu ustawa z dn. 15.III.1933 o szkołach akademickich (tekst jednolity Dz. U. Nr 1/36 poz. 6). Ustawa ta, śmiało twierdzi, w sposób decydujący zatamowała dopływ świeżych sił na wyższe uczelnie i stała się dla wielu nieprzebytą barierą na drodze do zawodu uczonego. Przeszkodą było nie tylko ciało profesorskie, bardzo słabo związane z nurtem polskich prądów demokratycznych, lecz także formalne przepisy, zresztą często wykorzystywane w celach z dobrem nauki nie wiele mających wspólnego.

Dla rozpatrywanego tu zagadnienia istotne znaczenie mają przepisy ustawy, poświęcone tzw. przewodowi habilitacyjnemu.

Art. 30 powierza przeprowadzenie habilitacji radzie wydziałowej, przy czym dopuszczenie do postępowania habilitacyjnego uzależnione jest w zasadzie od posiadania stopnia doktora i od uzyskania od rady wydziału pomysłnej oceny kwalifikacji osobistych.

Cóż to za kwalifikacje osobiste?

Pod pojęcie to kwalifikacje naukowe nie podpadają, bo ocena ich w myśl p. 3 lit. „a” omawianego artykułu stanowi pierwszy akt przewodu habilitacyjnego. Mogą to zatem być zarówno kwalifikacje moralne, jak i towarzyskie. Elastyczne to określenie, dopuszczające różnorodny wykładni może objąć społeczność *respectability* kandydata, jak i zestrojenie czy niezestrojenie jego poglądów politycznych z zapatrywanymi grona profesorskiego. Jakie kryteria zostały zastosowane w poszczególnym przypadku trudno dociec, ponieważ już na żądanie jednego członka rady wydziałowej, głosowanie w tej delikatnej materii winno być tajne (§ 3 rozp. Min. W. R. i O. P. z 21.IV.1936 o sposobie postępowania habilitacyjnego w państwowych szkołach akademickich, Dz. Ust. Nr 38/36, poz. 290).

Trudno zrozumieć czym się kierował ustawodawca? Czyżby uważał, że kryteria, na podstawie których ocenia się wartość moralną czy poziom etyczny uczonego powinny być inne, surowsze, niż te, które stosuje się do wojewody czy sędziego Sądu Najwyższego, czy też... specjalne?

Sam przewód habilitacyjny rozpada się na trzy akty: a) ocenę kwalifikacji naukowych kandydata, b) dyskusję habilitacyjną, c) wykład habilitacyjny. O ile pierwszy akt nie może budzić wątpliwości, o tyle drugi i trzeci nastroją poważne zastrzeżenia, tym bardziej, że rada wydziałowa może tylko *wyjątkowo* uwolnić kandydata od dyskusji i wykładu.

Wobec tego, że dyskusja habilitacyjna może się rozszerzyć z tematu pracy na całość przedmiotu, z którego kandydat się habilitował, a wziąć udział w dyskusji mają prawo oprócz referentów pracy habilitacyjnej także wszyscy członkowie rady wydziałowej, oraz profesorowie zaproszeni z innych wydziałów lub innych szkół akademickich (§ 7 cyt. rozp.) — kandydat od razu dostaje się w wir kontrowersji, prowadzonej często z ludźmi niekompetentnymi.

Nie występuję tu jako szermierz łatwizny, ani jako zwolennik obniżenia wymagań naukowych. Przeciwnie, uważam, że jeśli praca habilitacyjna uzyskała pozytywną ocenę specjalistów w danej dziedzinie, to egzamin przeprowadzany przy

współdziałaniu nie-fachowców nie może być skutecznym narzędziem selekcji.

Wykład habilitacyjny (§ 8), który kandydat wygłasza wobec rady wydziałowej ma na celu stwierdzenie, czy posiada on umiejętność „zwięzłego i jasnego przedstawienia zagadnień naukowych”.

Ten etap przewodu habilitacyjnego jest napewno zbędny, tym bardziej, że chodzi o człowieka, który już obronił rozprawę doktorską, uzyskał pozytywną ocenę swoich kwalifikacji naukowych i w dyskusji habilitacyjnej miał sposobność „zwięzłego i jasno przedstawiać zagadnienia naukowe”.

Nagrodę w tym intelektualnym steeple chase jest prawo wykładania w szkole akademickiej (*venia legendi*) — dodajmy prawo wykładania... bezpłatnego, ponieważ docent w zasadzie nie pobiera żadnego uposażenia, co go odróżnia, według niemieckiego bon mot uniwersyteckiego od robotnika dniówkowego.

Biada docentowi, którego warunki osobiste zmuszają do przeniesienia się na inny uniwersytet. Jego habilitacja „działa” tylko na uniwersytecie, który przeprowadził przewód habilitacyjny. Uciążliwe za biegi trzeba zacząć od nowa i dopiero uchwala rady odpowiedniego wydziału (art. 30 p. 12 ustawy o szk. ak.) otworzy przed nim podwoje sal wykładowych. Ale jakże trudno o to wobec swoiście pojętego *esprit de corps*, panującego na naszych uniwersytetach?

Znawca europejskiego ustawodawstwa o szkołach akademickich poinformował mnie, że system ten ustawodawca polski zaczerpnął ze starych austriackich wzorów. Czemże w świetle tych norm jest ciało profesorskie, jak nie ekskluzywną średnio-wieczną korporacją?

Czy taki system nie musiał odstąpić niejednego badacza? Czy machina przewodu habilitacyjnego, dająca tyle okazji do szyskan i utrudnień nie musiała być — z natury rzeczy — wykorzystana przez kliki polityczne, zwykłe sprzyśnięcia mianot, albo — co gorza — nepotyzm?

W pamięci zachowała mi się z czasów uniwersyteckich anegdota. Ktoś pyta asystenta:

— Podobno przenosi się pan na inny uniwersytet?

— Tak. Nie mam tu czego szukać. Córka profesora wychodzi za mąż.

— Nie widzę związku...

— Wychodzi za mąż, ale nie za mnie, pani!

W anegdocie tej jest więcej prawdy, aniżeli cynizmu. W niektórych gronach profesorskich zwrot „jestem jedną wielką rodziną” — ma odcień szczególnie ciepły...

Ale zostawmy anegdoty i skonfrontujmy stan prawny ze stanem faktycznym. Wydział prawa pewnego Uniwersytetu w ciągu dwudziestu lat do tego stopnia potrafił młodym uczynom utrudnić pracę, że przeprowadził aż *cztery* habilitacje. Tenże sam wydział wykazywał na przestrzeni czterech lat aż 5 vacatów.

Rozpowszechnionym zwyczajem na wydziałach prawnych było łączenie katedr. Nie można temu nic zarzucić, gdyby nie było dostatecznych sił naukowych na ich obsadzenie. Wtajemniczeni powiadają, że motywem właściwym były taksy egzaminacyjne, które dawały po kilka tysięcy złotych rocznie dodatkowego dochodu. Wpływy te, być może, rozdziły ową podświadomą niechęć do dopuszczenia nowych ludzi. Zbывano ich wykładami zleconymi, co ograniczało oczywiście poważnie swobodę wykładu, ponieważ „nauczyciele nieakademicki” znajdują się w tej dziedzinie „pod opieką naukową profesora, wyznaczonego przez radę wydziałową” (art. 37 p. 1 ust. o szk. ak.).

Wykłady zlecone, które rzecz jasna pozabawiają możliwości samodzielnego prowadzenia seminariów, i co za tym idzie szkolenia i wychowywania nowego narybku naukowego, są aż nazbyt szeroko stosowane i dzisiaj, kiedy w całej pełni powinien być wykorzystany — jak powiada Żółkiewski — „każdy doświadczony pracownik naukowy, jako technik, którego nie łatwo zastąpić”.

Znam „młodego uczonego” X — pod czterechlestkę — który w 1931 r. doktoryzował się, w 1932 r. został mianowany st. asystentem, do dnia dzisiejszego opublikował kilka książek naukowych, ocenionych pozytywnie przez krytykę i 18 przy-

czynków i wszystkiego tego za mało, by uzyskać *veniam legendi*. Znam innego utalentowanego naukowca, również st. asystenta, mianowanego w latach trzydziestych, który nie został dopuszczony nawet do wykładów zleconych, bo nie zdążył — wobec braku papieru — wydrukować pracy habilitacyjnej.

Tradycyjna praktyka kumulowania katedr, mimo iż są ludzie mający kwalifikacje do ich obsadzenia, utrzymuje się nadal.

Chciałbym podkreślić, gwoli jasności i celem uniknięcia nieporozumień czy fałszywych komentarzy, — że w obu ostatnich przytoczonych przykładach chodzi o ludzi, których serce i sympatie są po stronie społecznej prawicy.

Ale też Okopy św. Trójcy bronią się nie tylko przeciw wpływowi lewicy społecznej na uniwersytetach, lecz także przeciw wszelkim przejawom śmiałej, twórczej myśli, która nie mieści się w ramach panującej szkoły. Nikogo to nie zdziwi, kto zna smutne pod tym względem tradycje naszych uniwersytetów. O dowód prawdy nie trudno.

Gdyby zebrać na jednym uniwersytecie uczonych, którzy nie mogli w Polsce uzyskać katedry, stworzyłibyśmy jeden z najlepszych europejskich uniwersytetów. Wykładałby na nim prof. Petrażycki fizyko-fię prawa, katedrę antropologii piastowałby prof. uniwersytetu londyńskiego Malinowski, na tym imaginacyjnym uniwersytecie polskim nie brakłoby ekonomisty Oskara Langego, profesora uniwersytetu w Chicago i fizyka Infelda, współpracownika Einsteina.

Sprawę dyskryminacji uczonych „rasowo nieczystych” rozmyślnie pomijam, aby nie rozpraszać uwagi czytelnika.

Dziś jesteśmy świadkami zjawiska, że z jednej strony narzeka się na brak naukowców, spowodowany wyrzeźbieniem około 50 proc. sił naukowych w Polsce, a jednocześnie władze uniwersyteckie odpowiedzialne za kompletowanie zespołu nauczycielskiego nie wykorzystują ocalałych sił naukowych. Zdarzył się np. wypadek, że odmówiono pewnemu naukowcowi przyjęcia za podstawę habilitacji prac przedwojennych, co jest wyraźnie sprzeczne z ustawą o szkołach akademickich.

Podnoszą się głosy, że władze uniwersyteckie lekceważą odnośnie do stopnia naukowych zdobytych w czasie wojny zagranicą. Jest to objaw w naszej sytuacji szkodliwy. Czyżby naprawdę ktoś chciał poważnie twierdzić, że dajmy na to Kallek, jeden z filarów Instytutu Badań Koniunktur przed wojną, dziś profesor uniwersytetu w Anglii nie ma kwalifikacji potrzebnych dla objęcia katedry ekonomii, albo że doktor Uniwersytetu Moskiewskiego im. Lomonosowa nie dorównuje żadnemu z naszych uczonych „przyczynkarzy”, którzy mieli szczęście habilitować się w kraju, na czym zresztą niejedni i zakończyli swoją działalność naukową?

Gdyby same trudności czynione ubiegającym się o prawo wykładania na wyższych uczelniach gwarantowały wysoki poziom — o los naszej nauki moglibyśmy być spokojni. Tak jednak nie jest. Przed rewolucją Sun Yat Sena w cesarstwie chińskim wielce trudną rzeczą było uzyskanie stopnia mandaryna, — któżby jednak ośmielił się twierdzić, że mandaryni stanowili elitę naukową świata?

Sprawa znowelizowania ustawy o szkołach akademickich już dojrzała. Uproszczenie przewodu habilitacyjnego i zapewnienie ministrowi Oświaty wpływu na ten proces za pośrednictwem komisji, w której zasiadaliby specjaliści danej gałęzi wiedzy — to konieczność chwili.

Docentów habilitowanych przez tę komisję kierowanoby na uniwersytety, których personel nie jest skompletowany. System ten umożliwiłby nie tylko racjonalną gospodarke siłami naukowymi, ale pozwoliłby złamać fałszywie pojęty korporacjonizm, który tak chętnie przystaję się w tożę dostojenstwa wiedzy trudnej i niedostępnej.

Zmiana nieżyciowej, szkodliwej ustawy jest niezbędnym warunkiem, od którego ziszczenia się zależy powodzenie wysiłków zmierzających ku demokratyzacji naszych wyższych uczelni, podniesienia ich poziomu naukowego i uczynienia z nich ośrodków wiedzy, promieniujących na cały naród.

Rylejew — przyjaciel Polski

Rocznica urodzin K. F. Rylejewa, szeroko omawiana w prasie radzieckiej przypomina nam szlachetną postać poety-demokraty, jednego z wodzów pierwszego ruchu rewolucyjnego nowoczesnej demokracji rosyjskiej, pierwszego bodaj przyjaciela Polski, który w swej twórczości głos podniósł w obronie Polski.

Twórczość i życie Rylejewa to walka patrioty-demokraty o szczęście swej ojczyzny przeciw carskiemu „samodzierzawiu”, walka zakończona ofiarą życia w zduszeniu powstania dekabrystów w 1825 r. W walce z caratem rewolucjonści rosyjscy nie godzili się z krzywdą Polski; w niezmiennym przekonaniu, że nie może być wolnym naród uciskający inne narody. Wiemy z relacji Hercena że współczucia i sympatii w postępowych kręgach rosyjskich budził Kościuszkę, wiemy o węzłach przyjaźni wiążących Łukasiewskiego, Krzyżanowskiego z Bestuzewym, Pestlem, Rylejewym i kołami późniejszych dekabrystów.

Rylejew w 1816 r. po odbyciu kampanii wojennej znalazł się w Nieświeżu i tu zapoznał się z literaturą polską, uczył się języka, czyta Naruszewicza, Krasickiego, Niemcewicza. Przyjaźń z Bestuzewym i Somowym wzmacnia jego zainteresowanie Polską. Kształtowanie się rewolucyjnej świadomości Rylejewa utrwala sympatię dla wyzwoleniczej walki Polaków. Twórczość jego, samysł cyklu patriotycznych historycznych kształtuje się pod wpływem Niemcewicza, którego zwie „Tyriejem” i uważa za swego mistrza. Przyciągając słowa Niemcewicza, Rylejew stwierdza, że święty cel „Śpiewów Historycznych”: przypomnienia młodzieży o czynach przodków i o jaśniejszych epokach narodowej historii określił całe jego „Dum”. Uczuciem szacunku dla Niemcewicza i przyjaźni dla Polski tchnie jego list z 1822 r. „Śpiewy Hist. J. W. Pana były dla mnie wyborym wzorem dla którego nauczy się języka ozdobionego imionami Kochanowskich, Krasickich, Trembeckich i Niemcewiczów... Plody geniuszów są spólną wszystkich własnością... Na brzegach Nowy młodociane w królestwie nauk pokolenie z rozkoszą się napawa słodkimi dźwiękami sarmackiej lutni i umie cenić przyjaciół wielkiego Waszyngtona”.

W 1824 r. Rylejew, jak i wszyscy poeci rosyjscy, przyjaźnią otacza Mickiewicza, tłumaczy m. inn. „Lilie”, Mickiewicz poświęca mu wzruszającą strofę:

„Gdzież wy teraz? Szlachetna sżyja Rylejewa
Którą jak bratnią ścisła, carskimi wyrokami

Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa
Kłątwa ludom co swoje mordują proroki...”

W styczniu 1825 r. Rylejew pisze do swego przyjaciela Tumańskiego: „Pokońchaj Mickiewicza i jego przyjaciół Małowickiego i Jekowskiego: dobrzy i wspaniali ludzie. Zresztą i pisać zbędne: z uczucia i sposobu myśli to już przyjaciela, a Mickiewicza przytem i poeta, ulubieniec swego narodu”.

Rylejew potępiał, nie bez racji, polską magnaterię, rozpasane „kieszowe królestwa”, ale niezmiennie po śmieć bohaterką zachował przyjaźń dla narodu polskiego i jego walki o wolność. O tym, że Rylejew widział tragizm narodu polskiego, osłabionego i sprzedanego przez reakcję, że nie utożsamiał Targowicy z narodem, że pod powierzchnią spróchniałej szlacheckiej Rzeczypospolitej umiał dojrzeć niepożyty siłę narodu — świadczy list jego do Niemcewicza (styczeń 1823) pełen rozumienia praw dziejowych, pełen ufności w odrodzenie Polski.

„Tak, Ojczyzna wasza nieszczęśliwa: miała ona w nasze czasy niedostojnych synów, ale niestawa ich nie mogła omroczyć czoj wielkodusznego narodu i z jego łona pojawili się meżowie, którzy sławą swych czynów nierównanie wyżej podnieśli sławę Polski aniżeli pierwszy zdradą swoją ją poniżyli... — i dalej — „i sławne imiona Kościuszki, Kołłataja, Małachowskiego, Poniatowskiego, Potockiego, Niemcewicza i drugich znakomitych patriotów... nigdy nie przestana być powtarzane z czcią, a działalność tych meżów zawsze służyć będzie dla młodzieży dostojnym wzorem. Ziarna dobre i światła już posłane są w waszej Ojczyźnie. Wkrótce dojrzeją wspaniałe ich plody”.

Słowa jego tłumaczą nam, że podobnie jak demokracja polska nie utożsamiała caratu i narodu rosyjskiego, demokracja rosyjska nigdy nie utożsamiała polskiej reakcji i polskiego narodu. Te przyjaźni ku Polsce przechowały następne pokolenia rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. To też kiedy-Hercen występował w obronie Polski, kiedy potępiał carskich katów powstania styczniowego, jego ustami przemawiała:

„...Ruś rodząca się, Ruś wolna, młoda... Ruś meczenników
Pestela i Murawiewa, Rylejewa
i Bestuzewa...”

bd

ADOLF RUDNICKI

DZIENNIKI PIĘKNA SZTUKA PISANIA

1.

Rokrocznie w Święto Niepodległości odbywały się tu rewie wojsk. Z czterech stron kraju pułki wyprawiały swe doborowe reprezentacje. Przyjeżdżały do stolicy śmiertelnie znużone, lecz na krótko przed defiladą nagła nerwowość przywracała im blask. Dalej wszystko szło już jak z płatka i doborowe zespoły w najlepszych humorach — prawie szczęśliwe — odjeżdżały do swych macierzystych garnizonów. Ongiś w Święto Niepodległości stały tu tłumy i podziwiała piękno i siłę „naszego zbrojnego ramienia” — dzisiaj rosła kapusta. Mieliśmy przed sobą Pole Mokotowskie.

Począwszy od pierwszych ciepłych dni mieszkający południowo-zachodniej części miasta przychodzili z łopatami, motykami, grabkami i dębali w tutejszej ziemi. Na każdym wolnym skrawku warszawskim widziało się to samo. Naraz stwierdzało się w jakim stopniu Polacy są narodem rolnym, narodem zakochanym w ziemi. Szosa gładka jak kiesel, jak obraz święta w umyśle głupca, jak rzeka na obrazie dziecka przecinała misternie posiekane działki. Był początek czerwca 1944, zieleni już się opatrzyła, utraciła swą zdolność budzenia wzruszeń jaką posiadała w maju, pokryła się kurzem i nieuwaga. — front na Wschodzie zastępył i zdawało się, że nie odtaje nigdy. Druga wojna światowa była wojną skoków. Od przelomu stalingradzkiego, te z nich, które budziły w nas nadzieję, trwały jakże krótko w porównaniu z długimi martwymi przerwami — potem. Oko potomnych nie przygląda nigdy do tych interwałów pozbawionych emocji. Lecz dla nas nie były one pozbawione emocji. Gdy front nieruchomiał, dotykaliśmy dna. Oko potomnych nie odszuka nas tam, rozminie się z nami jak my z miłością, o której współdziewności dowiedzieliśmy się za późno o jedno całe życie ludzkie.

Przed sobą mieliśmy koszary SS, za sobą Luftwaffe. I jedno i drugie były odgradzone jak klatki dzikich zwierząt. Nie tylko nas odgradzali, siebie również. Siebie przede wszystkim. Ogród Baski, dostępny tylko dla nich, pokawałkował jak Ogród Zoologiczny. W każdej przegródce, w każdym kocy siedział inny rodzaj żołnierzy. Gdyby mogli, pokratkowaliby i niebo. Szał dzielenia cechował ten naród panów, — naród chemików, lecz nie pisarzy. Może chemia polega na dzieleniu, lecz ludzka sztuka pisania opiera się na tajemnicy łączenia. — jest umiętnością syntetyczną.

Już od dwóch godzin spacerowaliśmy po ramującym Pole Mokotowskie chodniku dość długim, aby nie widzieć koszar SS i Luftwaffe. Śród kapusty i kartofli uwijali się mieszkańcy Mokotowa i Ochoty; w ich postaciach grała owa wdzięczna nieprzystawalność amatorów, cechująca, zwykłe mieszkańców pracujących w polu. Rozmawialiśmy już dwie bite godziny — pisarz Czesław i Ja.

2.

O czym dwaj pisarze z niesłabnącą namietnością mogą rozmawiać nie tylko przez dwie godziny, ale i przez dwa dni, dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata i nie mieć dość? O literaturze. O jakiej literaturze z niesłabnącą namietnością mogą rozmawiać dwaj polscy pisarze? O literaturze polskiej, która jest dla nich literatura Tadka i Władka, Stasia i Jasia z wszystkimi osobistymi i nielosobistymi konsekwencjami stał pływaciami. W jakim duchu dwaj polscy pisarze mogą rozmawiać o literaturze polskiej tak, aby mieć z tej rozmowy prawdziwą przyjemność? Rozumie się, że w duchu absolutnie negatywnym.

O, na nikim nie zostawiliśmy suchej nitki. Nikt nam nie odpowiadał. Nic nam nie odpowiadało. Nikt nie znajdował łaski w naszych oczach. Z pasją niszczyliśmy zarówno drugich, jak siebie. Lecz gdyśmy niszczyli siebie, serce się przy tym nagłe budziło i śród leciutkiego bólu uprzytomnialiśmy sobie co właściwie czynimy, co właściwie wygadujemy.

Przesyciła nas wzajemną miłością ta obłąkana negacja, związała nas mocno, gorąco — mnie i pisarza Czesława! Myślę, że nigdy i nigdzie nie kochaliśmy się bardziej z pisarzem Czesławem jak wtedy pod wieczornym niebem Pola Mokotowskiego, deprecz zwoiki literatury polskiej. Gdybyśmy próbowali tak deptać kapustę na działkach, mieszkańcy Ochoty i Mokotowa połamaliby nam ręce i nogi.

3.

Nie potępiajcie nas zbyt. Mieliśmy przed sobą koszary SS, za sobą koszary Luftwaffe, przed sobą Oświęcim, za sobą Treblinkę, Majdanek, Wawer, Pawiak; mieliśmy w duszy

Goethego, ale rządził nami Himmler; Niemcy wołali die Kultur, die europäische Kultur, u wrót rzeźni — świata widniał napis die Kultur und die Kunst, ludożercy bronili die Kultur, — naraz okazało się, że świat nie ma wyższej legitymacji, wyższej racji bytu jak die Kultur und die Kunst.

My, którzyśmy kochali sztukę, czuliśmy się oszukani. Szacunku dla człowieka, pokory wobec bogactwa ludzkiego wnętrza — oto czego nas uczyła. A my nacośmy patrzeli? Na świat, gdzie z ludzi robiono mydło, z włosów dziewcząt materace, na świat, który był taki, że się nie znajdowało porównania. O świecie takim, jaki mieliśmy na codzień, nigdy dotąd sztuka nam nie mówiła. Czuliśmy się oszukani.

Sztuka nie wypełniła swych zadań. Ponieważ nie wypełniła zadań — powiadaliśmy sobie — jest współwinną przeto, współodpowiedzialna za piece krematoryjne, za mydło z ludzi, za dzieci spalane żywcem. Nabraliśmy bezwzględniego przekonania, że sztuka popłynęła w fałszywym kierunku. Powinna — orzekliśmy — wyglądać inaczej, ale to całkiem inaczej, powinna mieć całkiem inny punkt wyjścia i nurzać się w całkiem innych źródłach; powinna być jedna, moralna i w służbie prawdy, która wydawała nam się prosta i uchwytna, jak zawsze ludziom w obliczu śmierci. Nie chcieliśmy świata z Louvre'ą obok Oświęcimia. Należało sztuce odebrać jej plastyczność, jej wieloznaczność, uczynić z niej przyjaciela człowieka i raz na zawsze zapobiec temu, aby w ustach katów mogła się znaleźć. Powiadaliśmy sobie, że trzeba zniszczyć sztukę dotychczasową, wyrzucić jej piękno i związać z prawdą. Nie chcieliśmy piękna. Chcieliśmy tylko prawdy.

4.

Wszystkich nas, którzyśmy przeszli wojnę, gnębiły powyższe wątpliwości. Co mówią pisarze dzisiaj, gdy już mogą dać wyraz swym niedawnym wstrząsom oraz nadziejom i wykorzystać tajemnice wyzepsane im przez wojnę? Pisarze mówią, że się zmienili. Może. Brak książek jest wiernym stróżem tych cennych wyników, których moc podważa prawdopodobnie pierwsze publikacje. Na razie toczą się spory na temat, jaka powinna być literatura, pomiędzy dwoma obozami, z których jeden nazwijmy tradycyjnym, a drugi rewolucyjnym.

Co mówią tradycjonalisci? Z ciemności minionych lat, z kipieli śmierci weszli znów w jasność i jednego tylko pragną — zapomnieć. Siła uroku literatury ma im w tym dopomóc, ma im odpłacić za wszystkie brud i kał; czarodziejsko pisane postacie mają im wynagrodzić ból ludzki, cały miniony podświat, które to słowo tak często wymawiali SS-owcy; ofiarom odbierano nie tylko życie, jeszcze im wmańwiano, że są podludźmi. Spragnieni odmiany — jak zresztą wszyscy — szukają tej tradycjonalisci w literaturze. I odnajdują w niej tyle słodczy, ile w nich samych słabości, rezygnacji i niewiary. Albowiem wbrew temu co mówią tradycjonalisci, i to ci najbardziej ludzcy pomiędzy nimi, nie kochają oni ludzkości, kochają po prostu życie, które sobie podzieliли równie precyzyjnie jak niesprawiedliwie: tu góra, tam dół, tu my, tam wy. Zgoda z tradycjonalistami jest zgodą na to co było. Mowa tradycjonalistów jest mową rozłożonych bezradnie rąk.

A rewolucjonisci? Ci, jak zwykle rewolucjonisci, walczą. Nie mówią zbyt dobrze, mówią ciężko, nurzają swe niespokojne ręce w czułych wnętrznościach ludzkich, — bo czymże innym jest sztuka? — pochają się z receptami, których być nie może, popielniają setki głupstw jak zwykle pionierzy. Ale w tym co mówią, jak w gniewie proroków, tłucze się lek minionie nocy, drży głos przestrogi ukrzyżowanego świata: nigdy, nigdy więcej tego rozdrożenia! nigdy więcej samego tylko piękna bez prawdy! niemasz prawa do piękna jak długo istnieje jedna choćby szansa powtórzenia się tego co było!! Jeśli nawet mówią ciężko, jeśli nawet mówią nieporadnie i popełniają tysiąc pomyłek, jeśli nawet nie mają racji — gdyż być może, że sztuka, że jej sens zawarty jest w samym słowie, które się raz po raz zaciera, skutkiem czego wypływają nie do niej przynależne żądania, bo cóż w końcu ona temu winna, że świat nie ma wyższej legitymacji bytu? — jeśli, powtarzam, nie mają nawet racji, to jakże nam nie słuchać ich, jakże ich nie kochać nam, którzyśmy widzieli apokalipsę i wiemy, że jedyny to sens świata, aby się nigdy więcej nie powtórzyła!...

5.

Walczone o prawo do życia, o miejsce na ziemi, o godność, chleb i cześć kobiet. Lecz każdy dla swej walki pragnął słowa, które dla

człowieka winno być tym, czym kwiat dla ziemi. W okresie pokoju nie chwytano się znaczenia i wartości słowa. Nie pojmowało się równie jasno, iż ludzie i dzieje, by nie zblakły, wymagają utrwalenia przez sztukę. Życie kulminowało i gasło w oczach, nazwy miejscowości po stokroć powtarzane w ciągu jednego miesiąca, po upływie dwóch zaczynały brzmieć znowu obco. Reakcje ludzkie narastając, stawały się nieczytelne w swej złożoności.

Ludzie umierali w katowniach, konali w tyśiączny sposób. Ich niemy testamentem, ich ostatnią nadzieją była ta, że słowo będzie im poświęcone. Skatowany więzień, który umierał nie wydawszy towarzyszy, wierzył iż żyje serce w narodzie, że są oczy w narodzie, które go widzą. Bez wiary w te oczy, w te uszy, w to ser-

ce nie ma bohaterstwa. Szukali, wierzyli w nie zarówno ci, którzy szli z granatem na ulicę by mścić, jak ci którzy w obozach dogorywali trzeźwo i długo. W dniach nacięższej klęski narodowej i osobistej człowiek jasno pojmował sens sumienia, sumienia pisarza.

Istnieje stara legenda, wedle której grzechy każdego pokolenia są tak wielkie, że Bóg raz po raz chce skończyć ze światem. Powstrzymują go od tego sprawiedliwi, których na pokolenie przypada dwóch, trzech. To ich zasługa, iż życie nie gasnie, tych dwóch, trzech sprawiedliwych, których nikt nie zna. Proroków już dawno nie ma. Ale, proszę, proszę was wskażcie mi pisarza, w którym legenda ta nie budzi tajemnej, drżącej, szalonej, radosnej, jedynej nadziei!...

MIECZYSLAW JASTRUN

PIEŚŃ GMINNA

Na trawie tajniak leży,
Trup jeszcze świeży i śnieg świeży,
Z kaszkieta gestapowca wrona
Sfrunęła, szronem posrebrzona,
Charkliwe przedrzeźniając „r”,
Kracze, plugawy czuje żer,
Przechodnie stroną, lepiej zboczyć
I na wieży trzymać oczy
I milczeć tak jak milczy głaz
Nie pieruszy, nie ostatni raz.

Warszawa! Rok czterdziesty trzeci,
Nocami martwy łuszczyć świeci,
Blokada wczoraj, a śmierć dziś,
Przepaść bez dna, i w locie strómych
Gdy się zatrzyma nagle myśl,
Na chwilę staną w miejscu domy,
W śmiertelnym wirujące tańcu,
Lecz nie drgnie naprężony łańcuch.

Te palce delikatne, z których
Wzlatywał jeszcze wczoraj Szopen,
Tłuką w maszynę do pisania;
Literę skaczą, z łańcuch tortury,
Z ich niemelodyjnego tkania
Powieść podziemna, pieśń powstania
Na Wschód, na Zachód, na Europę
Wola: do broni! rzuca cień,
Gdy w dole chyłkiem wchodzi w sień,
Gdy trwożą się, gdy oglądają
Obywateli tego kraju,
W którym podatek zbiera śmierć,
Straszną, cóż że spodziewana!
I mówi tak podziemna pieśń
Cicha jak śnieg, jak śnieg szepciana:

Kiedy przed światem się zgromadzą,
Niech głośnym słowem się nie zdradzą,
Niech nie zawiedzie oko, dłoń...
Jest w śniegu zakopana wioska,
Za wioską Puszcza Kampinoska,
Tam będzie żywność, będzie broń.

Broń! Słowo krótkie, które budzi
Wyrastków; z tym wyrazem śpią;
O broni śnią, o karabinie;
Budzą się: za oknami grudzień,
Zimowa noc, gąszenie drzew,
I księżyc martwy niebem płynie.

Tak niegdyś w listopadzie szli,
Tak niegdyś szli styczniową nocą,
Drzewa z wichurą się szamocą,
Daleko do kwitnących lip...
Przypomnij, chłopcze, letni dzień,
Przypomnij wolnych lasów cień,
Jest na jeziorze leśnym łądź,
O zbudź się, zbudź się, zbudź się, zbudź!

Już brzask wyrwał obszar miasta
Z mroku godziny policyjnej,
Lśni wyszlizganej jezdni asfalt,
Na drzewach śnieg, śnieg zamogilny...
Na aucie trup tajniaka, w brasku,
Nakryty płaszczem uroczyscie,
Milczenie większe jest od ludzi
I krew na rozstrzelanych liście,
I trzeba będzie przelknąć miastu
Codzienną salwą, co nie zbudzi.

Dziewczyna, gdy na Remingtonie
Wybija twarzą, się symfonie,
Jest młoda Muza Konspiracji,
Sybillą — kiedy bierze w dłonie
Pismo, zamysła się wśród pracy,
Lokami ocienione skronie
Pochyla niżej — wtem w klawiszce,
Uderzy silniej, jakby w ciszę
Rzuciła grzechocącym gradem,
I na wpół gra i na wpół pisze
Pieśń, co się kończy — Stalingradem.

Przez miasto groźne i strzeżone
Pobiegnie z szarą torbą lekka,
Nie drgnie w zasłonie rzesz powieka,
Przechodzi patrol w hełmach, Ona
Zimowy świat chwytają w pierś
Nie wie (tak ciężki rzeź spełniona)
Że za nią w tropy biegnie pieśń.

Pod jakimś nurem, gdzie Lotysze
Czarni kamienowali ciszę,
Gdzie zbrojny Niemiec nocy strzegł,
Dziewczyna zginie rozszarpana
Granatem w pierwszy dzień powstania,
Otworzy się w powietrzu rana,
Szczerniałe grzyby zimny śnieg
Zasypie — tyle pożegnania,
A później niech przemienie wiek.

Warszawa! Tyle z niej ocalał;
Ten kamień bruku krwi nabiegły,
Kartagina i Jeruzalem
Zburzona do ostatniej cegły,
Ale nie kupić dziejów żalem,
Nie wskrzesić dźwiękiem, słowem poległych,
Do żywych mówi żywa pieśń,
Umartwych nie chce w szrzydlach nieść!

Już widzę ją, przybiegłą, imna,
Choć jak tamta zwinną, młoda,
I choć mi tamtej żal i szkoda,
Ta pieśń zostanie ze mną — gminna.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Hipoteka sumienia

Nie wiem, czy wszyscy z dostateczną powagą ocenili fakt, że wznowił swą bojową działalność „Rycerz Niepokalanej”, innymi słowy, że słynna już przed wojną „wytwórnia cudów” została puszczone w ruch. W dobie upowszechniania kultury i udostępniania jej masom jest to fakt bądź co bądź znamienity — i dlatego nie sądzę, by pokwitować go można było jedynie niedbalym wzruszeniem ramion i sarkastycznym: „Mundus vult decipi... Nasz mundus, vulgus czy nawet populus ma jeszcze wiele niebezpiecznych gwieków w swojej świadomości (11 sierpnia 1945 r. w Krakowie), a więc wniosła tolerancja w stosunku do utrwalaczy ciemnoty i przesady nie licuje wcale z hasłami postępu i kultury, którymi karmi nas tak obficie prasa codzienna.

W Polsce brak jest około 7.000 lekarzy, abyśmy mogli zbliżyć się do poziomu zdrowotności, osiągniętego od dawna na Zachodzie. Fabrykacja cudownych uzdrowień nie pokryje nam niedoboru lekarzy po wsiach i miasteczkach, wręcz przeciwnie — utrwalą w dziedzinie zdrowotności powszechniej zastoje i zaniedbanie. Sądzę, że tymi sprawami powinno się zająć z urzędu Ministerstwo Zdrowia, a jedną z oznak tego zainteresowania byłoby wydanie popularnej broszury na temat: „Trzeba się leczyć, nie licząc na cuda”. A jako motto do takiej broszury zaproponowałbym dwuwiersz z wolterowskiego „Edypa”:

„Kapłani nie są tym, czym lud ich
mniema,
Prócz naszej naiwności, żadnych cudów
nie ma”.

Ale nie o cudach właściwie piszę tu zamierzam, lecz o czymś innym zgola. Choć o to, że „Rycerz Niepokalanej” nie kontentując się swoją „specialité de la maison”, zaprzagnął naraz wypłynąć na szersze wody polityczne. W Nr. 2 „Rycerza Niepokalanej” wydrukowano rozważania o sukcesach dyplomacji i polityki papieskiej w czasie wojny. Nie wdając się tu w ocenę faktów, poczytywanych z dużą pochopnością za sukcesy, zajmuję się jedynie konkluzją artykułu, głosząca, iż „dzięki wielkiej mądrości papieża, jego hipoteka nie będzie obciążona po żadnej stronie”. W myśl wywodów autora ma to oznaczać, że idea neutralności była źródłem wszystkich sukcesów watykańskich i ta właśnie doskonała neutralność gwarantuje czystość „hipoteki” papieża i spokój jego arcybiskupiego sumienia.

Truizmem jest powtarzanie, że wojna ostatecznie była nie tylko najboleśniejszą w dziejach zmaganiem się odrębnymi narodami i kontynentami, lecz w równej mierze starciem ideologicznym o niespotykanej dotychczas sile, napięciu i doniosłości. Według urzędowych statystyk, bynajmniej jeszcze nie pełnych, poległo w tej wojnie 13 milionów żołnierzy, zaś liczba ofiar, wymordowanych przez faszystów niemiecki w czołach koncentracyjnych wyniosła 26 milionów Wielkość, by nie rzec: potworność tych cyfr — nie mogła być nieznana Namieśnikowi Chrystusa i nie mogły być dlań tajemnicą okoliczności, towarzyszące dwudziestu sześciu milionom tych „cywilnych” zgonów.

A mimo to, w ciągu sześciu lat rozstrzygającej walki o przyszłość ludzkości nie rozległ się — ku jej bolesnemu zdumieniu — ani razu jasny i niedwuznaczny głos papieskiego autorytetu, ani razu głos ten nie wskazał narodom wyraźnie, gdzie biegnie wśród frontów wojennych linia stancowego podziału między dobrem a złem, między jasnością a mrokiem, an iżu człowiek w udreće, człowiek poniewierany, szcunty, gwałcony i mordowany — nie usłyszał z wyżyn Stolicy Piotrowej słów ojcowskiej zachęty do walki z podłością faszystów, do oporu i wyrwania w obliczu jego zbrodni, do starcia go z powierzoną ziemi na czasy wieczne. Były — wiemy — w latach wojny łzy, okolicznościowe wypowiedzi papieskie, ale w tych dyplomatycznych radnych zwrotach, lenich, ogólnikowych i nitkach, nikt spragniony nie mógł się dosłuchać treści, która przyniosłaby mu istotne pocieszenie.

Politykę chłodnej, wyniosłej, ponadziemskiej niejakiej neutralności uprawiana przez Watykan w latach wojny, mógłby ktoś tłumaczyć szczególną sytuacją, w jakiej znalazł się papież w związku z zajęciem Rzymu przez wojska niemieckie. Ale ta sytuacja trwała niedługo miesiące i była tylko epizodem na tle kilkuletniej historii wojennej. A przy tym — czy wolno prawu moralnemu ustępować przed siłą w jakichkolwiek okolicznościach? Czy może milknąć głos wiary i sumienia przed szcukiem broni?

A więc może poświęconym i nieodwołalnym kanonem Kościoła Katolickiego jest zachowywać postawę obojętności i neutralności wobec wszelkich prądów i walk doczesnego świata, może taki właśnie obojętny nakład jakas ultima ratio katolicyzmu na wszystkich jego naczelnych reprezentantów? Nie jest prawdą takie przypuszczenie. Bo gdy chodzi o t. zw. zgubne z papieskiego punktu widzenia doktryny społeczno-polityczne, mówiąc po prostu o socjalizm, komunizm, zupełną wolność

sumienia, niejednokrotnie rozlegał się z wyżyn papieskiego tronu grzmiący głos przestrogi i potępienia, a z bull i encyklik w tych materiałach wydawanych utworzyć by można pokaźną bibliotekę. Ale i wobec tego, co my za zgubne uważamy, postawa papieża — trzeba to podkreślić — nie zawsze była jednakowa. Nie kto inny bowiem jak poprzednik obecnego papieża — Pius XI w sposób najzupełniej niedwuznaczny, autorytatywny i bezkompromisowy pościł hitleryzm i jego przedwojenne zbrodnie, wskazał bez obsonek na istotne niebezpieczeństwo, grożące ludzkości ze strony zgubnych doktryn rasizmu, antysemityzmu, dyskryminacji narodowościowej i religijnej. A gdy antychryst w osobie Hitlera przybył do Rzymu, by knuć spiski wojenne ze swym włoskim komparsem, Pius XI zdobył się na gest dostojny i niezapomniany, demonstracyjnie wyjeżdżając z Rzymu do swej podmiejskiej rezydencji, zaś przed wyjazdem kazał napisać w „Osservatore Romano”, że nie może przebywać w mieście, na którego murach powiewają flagi ze złamanym krzyżem chrystusowym. Pius XI miał zresztą wielu naśladowców wśród najwyższej hierarchii kościelnej: dość będzie wymienić nazwiska kardynałów Faulhabera i Verdiera, nie wspominając pomniejszych.

Zajęcie określonej postawy wobec zjawisk tego świata jest przede wszystkim

kwestią zapatrywań i poglądów usposobienia, charakteru i temperamentu. To zespół tych czynników dyktował Watykanowi „neutralne” milczenie. To te czynniki właśnie — w swej specyficznej treści i dóbocie — przesłaniały oczy Piotrowego. Następcy mgłą „uniwersalistycznego” zobojętnienia, z ziemskich i człowieczych źródeł, a nie ze szczytów natchnionej mądrości — jak mniemają niepokalanowscy egzegeci — wypłynął napawający ich dumą i radością fakt — nieobciążenia hipoteki papieskiej „po żadnej stronie”. Coż powiedzieliby rycerze Niepokalanej, gdyby i w tym wypadku uznać bez zastrzeżeń słusność maksymy: „Kto milczy, ten się zgadza”?

Sumienni historiografowie drugiej wojny światowej, malując dokładny obraz kataklizmu, nie będą też mogli zapomnieć o zgromadzeniu i zbadaniu wszystkich moralnych aktywów i pasywów jego uczestników, zwłaszcza gdy chodzi o jednostki, które los wyniósł wysoko ponad poziom przeciętności ludzkiej. A wówczas okaże się, że brak pełnych pozycji obciążających — hipotekę sumienia — co wydawało się, niektórym tytułem chwały i zasługi, stanowi w istocie, przed prawdziwym sądem dziejów, obciążenie najmocniejsze, najgubniejsze i — niewybaczalne.

Bolesław Dudziński

Sens istnienia p. Staronki

Ostatnio zaczęło u nas szerzej zajmować się marksizmem, a szczególnie filozofią marksizmu. Pisuje się na ten temat już nie tylko na lewicy, ale również na prawicy. Przed wojną z marksizmem starano się zrobić polityczne monstrum, w nauce go przemilczano, tak że przeciętny nasz inteligent znał marksizm tylko z nazwy. Obecnie „Tygodnik Powszechny” uważał za konieczne pomieścić w 31 numerze aż dwa większe artykuły o marksizmie. Jest to fakt symptomatyczny.

Ale tym razem idzie nie o „Tygodnik Powszechny”. Raczej będziemy musieli zająć się przyjaciółmi.

Stare przysłowie powiada: Bóg, chroń mię od przyjaciół. Nie znaczy to, naturalnie, byśmy nie mieli zaufania do przyjaciół. Ale dobrać ich należy starannie. W przeciwnym bowiem wypadku, jak powiada inne przysłowie, „ładzić was będą wedle przyjaciół waszych”.

Więc oto ks. Piwowarczyk, traktując o materializmie i nie mając odpowiedniej literatury pod ręką (nieśmiały, jak dotąd jest jego w Polsce bardzo mało), powołuje się jako na źródło swych wiadomości o tym, że wedle marksizmu „istnieje tylko materia”, na marksowskiego, jak powiada, filozofa, p. Staronkę („Sens istnienia”, str. 94). Należy stwierdzić, że ks. Piwowarczyk jest zupełnie w porządku, bo wszystkie akcesoria zdają się świadczyć o tym, że mamy okazję z książką marksistowską. Nagłówek brzmi: Biblioteka uniwersyteckich robotniczych. Na stronie wewnętrznej widnieją nie tylko insygnia TUR-u, ale wyraźnie jest stwierdzone, że wydawnictwo jest prowadzone przez współzwiązkowe Wojew. Zarządu TUR w Krakowie i że mamy przed sobą pierwszy, a więc poniekąd reprezentacyjny tom wydawnictwa. I dlatego też, mimo, że tytuł „Sens istnienia. Przystępny zarys filozofii” nastroja marksistę podejrzliwie, wierzyłem również, że autor — Leszek Staronka jest marksistą. Zbyt dobrą firmą jest TUR, zbyt dobrze jest mi znana deklaracja ideowa TUR-u, stająca na gruncie marksizmu, by dopuścić inną myśl. Z książki wynika jednak jasno, że z marksizmem nie ma ona nie wspólnego, więcej, nawet, że w swej treści zwraca się przeciwko marksizmowi.

Nie można mieć pretencji do autora. Każdy ma prawo w ustroju demokratycznym do przekonań, jakie mu się żywnie podobają, byleby nie był faszysta, każdy może, naturalnie, uprawiać filozofie wedle sweo unodobania. Ale można mieć pretensje do TUR-u w Krakowie, że dał się zwieść pozorom i każdy konsekwentny marksista będzie ja miał po przeczytaniu książki ob. Staronki.

Ruch robotniczy wyrósł z okresu walki ideologicznej o marksizm, gdy próbowano „godzić” Marksa Bóg wie z czym. Do tej toleracji wciąć już nie warto. Ruch robotniczy stoi twardo na gruncie marksizmu, bo to jest teoria, która najlepiej odzwierciedla rzeczywistość i jej prawa. I dlatego właśnie stawia sobie TUR za zadanie propagande tej idei, w klasie robotniczej, ponieważ marksizm reprezentuje najbardziej postępową naukę. I dlatego właśnie propagowanie idei antymarksistowskich jest biciem w samego siebie, jest działaniem sprzecznym z własnym celem.

Wiadomo, że marksizm posiada „swoją” filozofie — materializm dialektyczny — jest przeciwieństwem idealizmu. Przypatrzmy się, na jakim stanowisku stoi ob. Staronka.

Antymaterializm. Str. 92. Istotnie materializm naukowego nie można uznać

za zadawalające rozwiązanie istoty wiary. Ze autorowi nie idzie tylko o wulgarny materializm typu Büchnera, Vogta i Moleschotta świadczą jego pozytywne stosunki do filozofii „materialistycznego mistycyzmu”. „Zaznaczyć warto, że największym może przeciwieństwem mistycyzmu jest materializm naukowy. Dlatego też dwa te kierunki dość dobrze się uzupełniają, tak, że właściwy, słuszny światopogląd mógłby od biedy nosić nazwę materialistycznego mistycyzmu” (str. 142).

Idealizm. „Weźmy pod uwagę taki układ pojęć, który jest możliwie najlepszym od powiednikiem treści rzeczywistości subiektywnej”. Według autora to jest „najwłaściwsze naszym zdaniem określenie rzeczywistości obiektywnej” (str. 73). Żeby nie było wątpliwości co do idealistycznego stanowiska autora, zaznacza on, że wprawdzie uznał materię za podstawową rzeczywistość, ale „nadaliliśmy — jak powiada — do pewnego stopnia materii charakter koncepcji” (str. 95).

Aprioryzm. Swoje, niezgodę z materializmem podkreśla autor jak tylko może. I dlatego stwierdza, że Kantowski aprioryzm w całej swojej rozciągłości utrzymać się nie da, ale „istnieje w naszym umyśle jakaś wrodzona wiedza o przestrzeni. Odnosi się to także do czasu i w jeszcze większym stopniu do liczby. Wobec tego raczej odznaczamy sensualizm” (str. 43).

Na stronie 38 autor przyznaje się do pozytywizmu, na stronach 140-142 do intuicjonizmu (szczególnie „pomieszanie pojęć” ujawnia autora na str. 100, gdzie dowiadujemy się, że egzystencjalizm, dialektyka Hegla i Marksa oraz intuicjonizm należą do jednej kategorii jakichś „analitycznych (i) „prądów”, na str. 143, na koniec, dowiadujemy się, że wprawdzie ejdetyzm Husserla jest dziwactwem, ale „z naszego punktu widzenia można je (to stanowisko) do pewnego stopnia zrozumieć”, a nawet „metoda ejdetyczna może dawać w niektórych wypadkach rezultaty pozytywne, chociaż tylko jako przybliżenie. Jest tak wtedy, gdy chodzi o sprawy duchowe.” (str. 143).

Jednym słowem, na to, że o materializmie nie ma tu mowy, dalsze dowody są niepotrzebne.

A teraz inna sprawa. Wypróbowana taktyka reakcji na forum naukowym było i jest przemilczanie marksizmu. Od człowieka, występującego w imieniu robotniczej placówki kulturalnej, można by wymagać aby coś przynajmniej powiedział o Marksie. Otóż należy stwierdzić, że czytelnik więcej się dowie np. o materializmie historycznym z polemiki Grabskiego w jego „Ekonomii politycznej” aniżeli z „Sensu istnienia”. Zwulgaryzowany materializm, wzmianka — i to sporna — o dialektyce i materializmie historycznym, i to wszystko. Przy tym w książce aż się pstryg od nazwisk i systemów. Po prostu wstydliwe przemilczanie marksizmu.

Pomijając już to wszystko, książka reprezentuje mierna eklektyczna zbieralinę. Dla otwórzka znającego filozofie — rzecz zupełnie zbędna, dla nieznanego — niestrawna.

Przejdźmy do wniosków. Czego oczekujemy dziś od wydawnictw w rodzaju Biblioteki Uniwersyteckich Robotniczych? Ugruntowania w musach światopoglądu marksistowskiego. I dlatego słuszne jest wydawanie dla robotników książek popularnych z dziedziny filozofii marksizmu. Przed popularne wydawnictwa bynajmniej nie rozumiemy tylko popularyzacji, już istniejących poglądów, ale i rozszerzenie

Nowe książki

Stefan Klimeczak, por. W.P. Od Okł do Szprewy. Montaż literacki. Słowo wstępne Henryka Wernera, ppłk. W.P. Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. Zdjęcia czółowki filmowej W.P. — Warszawa, „Książka”, 1945; str. 192.

Autorem zbioru reportaży składających się na całość wydawnictwa „Od Okł do Szprewy”, był współredaktorem gazet frontowych 1-lej dywizji Kościuszkowskiej, później 1-go korpusu i 1-lej armii W.P. Reportaże te, napisane w sposób bezpretensjonalny, żywy i bezpośredni, ukazują drogi orężnego wysiłku tych, którzy wiosną 1943 r. nad brzegami dalekiej Okł, przysięgli uroczyste „ziemi polskiej, broczącej we krwi i narodowi polskiemu, umęczonemu w niemieckim jarzanie, że nie skaltają imienia Polaka, że wiernie będą służyć Ojczyźnie...”

Książka por. Klimeczaka, wołna od retorycznego patosu, jest dokumentem. Książka ta wzrusza i chwytła za serce szczerym żołnierskim sentymentem, umiłowaniam wolności. Obszerne słowo wstępne napisał ppłk. Henryk Werner, tytułując je: „W rocznicę bitwy pod Lenino”. Praca ta (wydana przez „Książkę” również w oddzielnej, 16-stronicowej odbite) daje treściwy pogląd na historyczne i ideologiczne przesłanki utworzenia oddziałów W.P. w Rosji Radzieckiej, omawia podstępne machiny i haniebną exodus gen. Andersa, awanturę wojskowe wysiłki Zw. Patriotów Polskich, oparte na idei Polski demokratycznej i z Rosją sojuszem związanej, określa wreszcie i podkreśla polityczne i militarne znaczenie bitwy pod Lenino. Tu właśnie, 12 października 1943 r., żołnierz polski i rosyjski, po raz pierwszy od Grunwaldu, stanął zgodnie przeciwko wspólnemu wrogowi niemieckiemu. „Po raz pierwszy w dziejach stosunków polsko-sowieckich regularne polskie siły zbrojne i Armia Czerwona, stanęły obok siebie na polu walki, związane braterstwem broni. Bitwa pod Lenino była pierwszym realnym przejawem zmiany stosunku narodu polskiego do narodów radzieckich. Od słownych deklaracji, od pisanych paktów przeszliśmy do czynów, pisząc krwią własną prawdy, które na zawsze odłaj stały się własnością Narodu”.

Na tym polega trwały sens historyczny i nigdy niezatarta polityczna doniosłość bitwy pod Lenino.

(bd)

Dr Filip Friedman. To jest Oświeceni! Warszawa. Państwowe Wydawnictwo Literatury Politycznej, 1945; str. 109 i 3 nt.

Książka dra Friedmana, oparta na materiale dokumentalnym, jest pierwszą próbą systematycznego i dokładnego opracowania ponurej historii Oświecienia. Z pozostawianych przez Niemców „świadczeń” pisanych, z zeznań i wypowiedzi b. więźniów oświecimskich, wybrane zostały elementy najistotniejsze, najbardziej treźliwe, najlepiej obrazujące charakter i grozę oświecimskiego piekła.

Było to piekło zmodernizowane, w najnowsze zdobycze niemieckiej nauki i techniki, zaopatrzone, funkcjonujące niezmordowanie ku chwale „Przecież Rzeczy” i według rozkazów jej kierowników. Nie chcą powtarzać tu rzeczy skądinąd znanych, podam jedynie kilka cyfr, dotyczących oświecimskiego kombinatu śmierci. Rozpostarli się na 40 km. kw., obóz oświecimski wchłonił w latach 1940—1944 około 7 milionów ludzi, z których przynajmniej połowa nie wyszła już nigdy poza bramy i drzwice obozu. W okresach szczytowych swego rozwoju liczył on do 200 tysięcy, w rekordowym dniu 28 czerwca 1944 r. spalono 24.000 osób! Ze szczególną bezwzględnością mordowano Żydów, Polaków i Rosjan; tak np. z transportu Żydów łódzkich, przywiezionego w końcu 1944 r. w liczbie 1202 osób, odwieziono wprost z rampy do komór gazowych 1141 mężczyzn, kobiet i dzieci. Z dziećmi nie zadawano sobie w ogóle wiele trudu; zabijano je albo „po prostu” kolbami, albo palono żywcem na stosach, gdy komory i krematoria podlać nie mogły pracy.

Jeden z najciekawszych rozdziałów książki dotyczy „komercjalizacji przemysłu śmierci”. Z właściwą sobie grubowłótnością i pedanterią zastosował tu „kulturalny” naród niemiecki wszelkie ulepszone metody techniczne i handlowo-kalkulacyjne. Nie tylko odzież i obuwie, nie tylko włosy i złote zęby, ale również popioły, kości i tuszecz zamordowanych znajdowały użytkowanie i miejsce właściwe w aparacie wojennej gospodarki niemieckiej.

Oświecim był nie tylko mordownią na wielką skalę i dochodowym przedsiębiorstwem przemysłowym, ale również szkoła sadystów, w której wychowano dla specjalnych potrzeb — zastępy katowskich pacholków spośród pewnych kategorii więźniów. Wychowywano — z powodzeniem, czego sporo przykładów znajdujemy we wstrząsającej książce Friedmana. Ta hodowla zbrodni i zwyrodnienia stanowi jeden z najstraszliwszych rozdziałów historii Oświecienia. (bd)

ich na zagadnienia nowe, oczywiście, w formie zrozumiałej. Rzecz jasna, że nie ma w ramach takich wydawnictw miejsca dla książek ideologicznie nam obcych. Może to tylko wywołać zamej w głowach zwolenników, otwierając zarazem furtkę do wypiczenia światopoglądu marksistowskiego przez pracowników.

Z tej racji można książkę Staronki w wydaniu TUR określić niewątpliwie jako szkodliwą, i pod względem treści i pod względem formy. Jedyna chyba pociecha jest fakt, że tak napisanej książki nie zrozumie żaden robotnik. Ale kierownictwo TUR większą powinno zwracać uwagę na to, co się pod jego firmą ogłasza.

A. Sz.

PAWEŁ HERTZ

„Okno bez krat” Antoniego Słonimskiego

OCENA PO LATACH

To, co ocalić może twórczość pisarza przed niszczeniem czasem — sprawdzalność w zmienionej rzeczywistości, sprawdzalność nie tylko w ramach stylistyki, którą gotowi jesteśmy uważać za prawidłową, ale przede wszystkim w naszym przeżyciu ludzkim, nie jest niestety udziałem większości książek powstałych w okresie 1918 — 1939. Dziś o możliwości powrotu do dawnych lektur decyduje proste zestawienie poetyckiej treści z rzeczywistością. Jeśli poezja jest ludzka, to będziemy ją czytać bez względu na to, czy pisana jest regularnym wierszem, czy rozkwitającymi zdaniem.

Sprawiedliwych, tych, którzy w wierszu nie szlifowali tylko pięknego zwierciadła, by się w nim zalotnie przegładać, było w poezji polskiej tych lat, powiedzmy szczerze, nie wielu. I jeśli wśród młodszego pokolenia odnaleźć można humanistyczne ślady, wśród pokolenia skamandrytów było to rzadkością.

Witalizm Wierzyńskiego, romantyczne dekorum Lechonia, tuwimowska walka z demonami, były to wszystkie próby ucieczki od spraw ludzkich, które zaciążyły przecież mimo wszystko na całym tym okresie stylizatorskiego stosunku do rzeczywistości, by zgnieść wreszcie pod swoim ciężarem puste dzbanki, w które nie nalano młodego wina. Dziś wyciągamy ich odłamki spod gruzów, podziwiamy doskonale kształt skorup, ale nie staramy się nawet odtworzyć ich poprzedniej postaci, zbyt dobrze wiemy, jakiby kształt powstał.

Rzecz inna, gdy wracamy do lektury Słonimskiego. Wydaje mi się, że z całej twórczości tego świetnego poety, akceptować można dziś tylko ostatni przedwojenny tom wierszy „Okno bez krat”.

Ten tom politycznych bez wątplenia wierszy jest portretem liberała, pacyfisty, sceptyka — ówczesnego sprzymierzeńca dzisiejszych dni.

To nie, że Słonimski w czasie szalejącej wojny napisał wiersz idealizujący słabość demokracji („O Polsce słabej” z tomu „Alarm”, Londyn 1941). Ten wiersz nas nie dziwi, bo wiemy, że Słonimski należy do formacji dziewiętnastowiecznej, w najszlachetniejszym jej gatunku. Całą twórczość Słonimskiego, i tę sceptyczną i tę nieomal romantyczną („Matko Europo” i z „Okna bez krat”) o mickiewiczowskich akcentach, przenika racjonalizm.

Słonimski w „Oknie bez krat” nie uderza w katastroficzne akordy, chociaż równie dobrze jak jego młodszy koleś przeżuwa katalizm. Ale w przeciwieństwie do nich Słonimski, potomek wieku pozytywistycznego, wieku rozumu, zdaje sobie sprawę z przyczyn. Przeczytajcie „Palenie zboża”. Słonimski daje nawet dość dokładny opis katalizmu, przeczytajcie „Matko Europo”, dokument epoki. Słonimski wie skąd spadnie, na nas katalizm; przeczytajcie „Niemcom”. Więcej nawet. Wśród wierszy o Rosji Radzieckiej, których kilka znajdziemy w „Oknie bez krat”, jest i wiersz świadczący o tym, że Słonimski wiele rzeczy rozumiął, nim wielu z nas je pojęło: przeczytajcie „Rozmowę z komсомолką”.

Racjonalizm Słonimskiego jest sceptyczny. Jeśli poeta zna przyczyny, dokładnie wyobraża sobie zagładę istniejącego świata, i wie, że są inne, lepsze zapewne formy układu społecznego, jeśli Słonimski odrzuca idealizm, jak świadczą takie wiersze jak „Pękło i niebo”, „Zaduszki”, „Rodowód”, to skąd się bierze ta nuta sceptyczna? W „Hamletyzmie”, jednym z piękniejszych wierszy tego tomu jest taka strofa:

Mój bracie. W każdych oczach, w każdej obcej twarzy mógłbym znaleźć, odczytać, odszukać to piętno, pokrewieństwo najbliższe, co gasi namiętą siłę i wiarę, która w tych oczach się zarzy.

Słonimski bowiem jest ostatnim liberałem w polskiej poezji dwudziestolecia. Ostatnim i jedynym. Słonimski walczy jak Don Kichot o zasady politycznej demokracji. Parlamentaryzm, wolność słowa i sumienia, szlachetna dyskusja... tak, Słonimski żądał w 1936 roku rzeczy anachronicznych. Demokracja polityczna w postaci weimarskiej republiki, wciągając wszelkie konsekwencje ze świętych zasad dwiętnastowiecznej pojmowanej wolności, utworzyła dro-

gę faszyzmowi. W imię formalnej neutralności demokracja Bluma patrzyła z nad granicy na hiszpańską wojnę domową. Hiszpanii trzeba było samolotów, a nie słów.

Niewiara i sceptycyzm wierszy omawianego tomu mają odkryte źródła. To czego żąda Słonimski, to za mało. Poeta wie o tym zapewne, nie może nie wiedzieć. Pacyfizm, filantropia, wellsowskie utopie, „nowy wspaniały świat”, plan De Mana, sceptyczne osady — to wszystko nie mogło nas ocalić, bo przeciwnik był uzbrojony w żagiew, którą palił książki i w automat, którym zabijał piszących.

Dziś po latach można tylko konstatować i wyciągać wnioski. Polityczny błąd „Okna bez krat”, bo są to niewątpliwie wiersze polityczne w najszlachetniejszym rodzaju, jak wiersze Heinego, Herwega czy Freiligratha, polega na nie współmierności między zasięgiem wzroku poety i rzeczywistością. Rzeczywistością był rok 1936, poeta patrzył nań z oddalenia o epokę. Słonimski nie przechodzi progu żelaznych praw ekonomii i socjologii, które rządzi światem. Dialektyka historii jest mu obca i pozostaje tylko zmaganie się z samym sobą w obliczu niebezpieczeństwa barbarzyńskiego najazdu.

Krąty nie zostały przełamane. Okno, z którego Słonimski patrzył, było zamknięte.

W czym odnajdujemy dziś po latach ową cennosc, która pozwala istnieć książkom minioniej i zamkniętej epoki dwudziestolecia?

W „Oknie bez krat” jest cenny ów niekonsekwentny racjonalizm. Pamiętajmy bowiem, że w tym samym okresie ukazywały się piękne lecz tragiczne poematy zamkniętej oczu: wiersze o zagładzie, mitologii upadku, podania o końcu świata.

W „Oknie bez krat”, jeśli nie znajdujemy konsekwencji widzenia rzeczywistości, znajdujemy przecież te jej końce, które inni, współcześni Słonimskiemu i młodszy od niego poeci, starannie ukrywali w ciemności doskonałych strof.

Dlatego wydaje mi się, że ten tom jak zresztą i cała poetycka twórczość autora „Parady” jest nam, widzom i uczestnikom rzekomego końca świata, bliska. Jeśli liberalizm i sceptycyzm racjonalizm Słonimskiego nie może być receptą teraźniejszości, to w każdym razie „Okno bez krat” jest świadectwem prawdy o latach naszej smutnej młodości.

I kiedy po latach, patrząc bez gniewu jak archeolog na wykopaliska, będziemy czytać te wiersze, pomyślimy o szlachetności, o daremnie, nierównej walce, pozbawionego właściwej broni poety, przeciwko uzbrojonej po zęby historii.

O poziom objaśnień w narodowym wydaniu dzieł Mickiewicza

Ankieta

W wykonaniu uchwały Krajowej Rady Narodowej z 5 maja przystąpiono do pracy nad Narodowym Wydaniem Dzieł Mickiewicza, które ma dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu.

Komitet Redakcyjny pragnąc zebrać jak najobfitszy materiał w celu ustalenia poziomu objaśnień tego wydania, zwraca się do kierowników Uniwersytetów Ludowych, Uniwersytetów Robotniczych, Światlic i Czytelni z prośbą o nadsyłanie spostrzeżeń nad stosunkiem czytelników do objaśnień trudniejszych utworów literackich, oraz o dokonanie na swoich placów-

„Kuznica” podjęła próbę oceny utworów literackich z lat międzywojennych. Inicjatywa aż nadto zrozumiała. Podrosto nowe pokolenie i cokolwiek się z tego o nim mówi, to przecież i to pokolenie czyta. Trzeba nową generację zorientować w ocenie z pogromu szczątkach gospodarstwa bibliotecznego. Może jeszcze bardziej przyda się to starszym. Książki z przed wojny są potrosze jak książki z lat dziesiętnych, pozostała po nich plamka wspomnienia i otoczek pierwszej oceny. Tylko, że do tych książek wraca się dzisiaj i nie można już na nie spojrzeć inaczej, jak z perspektywy doświadczeń wojennych. Rewizja wartości, jak to się niegdyś mawiało, wydaje się konieczna, bo inaczej... inaczej będzie tak jak jest.

Będzie przedziwna mgła nad życiem literackim, kurtuazja wszystkich wobec wszystkich, lęk o zachowanie status quo utarłej opinii, przenoszenie żywcem w nasze czasy przebrzmiałych sądów, często urobionych koniunkturalnie, czkawka po sezonowych zachwytach i upodobaniach, odwilż po niegdyś sięjszych śniegach, będzie snobizm naszych czasów, który rozrzuca się bardzo pomyślnie. Wystarczy pocztać felietony literackie w gazetach...

Niedawno kronikarz prasy w „Odrodzeniu” zauważył trafnie, że dzięki niedzielnemu dodatkom w pismach codziennych utrwała się najbardziej rozproszona forma życia literackiego. Sprzyja to znakomicie konserwacji przedwojennych sądów, nieporozumień i uprzedzeń. Poza tym co niedzieli kochamy się w popularnych uogólnieniach, w teoriach, problemach i zagadnieniach, wolimy zapuszczać się w bardzo zasadnicze dyskusje na temat kultury chłopskiej czy narodowej, zachodniej i wschodniej, jaka ma być literatura, czy ma być realizm i jaki, niż zajmować się książkami, które przecież kursują między ludźmi.

Wiadomo, że rewidować utwory żyjących to rzecz dosyć przykra. Wojna zabiła w nas ducha przekory. Wszystkich jakoś łączy wspólny sentyment, że się odnaleźli, że przeciw tej noc przetrwali, że się przeciw dzielnie lub godnie zachowali, że wspólnego mają wroga w faszyzmie. Ale haczymy, aby front jednoci narodowej nie stał się w literaturze szkołą obłudy.

W mrokach okupacji ten i ów zaczął przy świeczce przegładać literaturę między-

wojenną zmienionymi oczami, inni znów przytknęli powieki, aby przecześć tę krwawą pauzę, ocalić resztki przedwojennych upodobań. Życie się zmienia szybciej niż literatura, długowieczny złoty nie nadąża za reformą rolą. Czy dlatego właśnie ton nadają ludzie, dla których wojna była tylko pauzą?

Są w naszych miastach takie kawiarnie, gdzie gość niezadomowiony będzie miał wrażenie, jak gdyby od trzydziestego któregoś nie się nie zmieniło, przybyła tylko jedna genialna szmira, „Piosenka o mojej Warszawie”. Są takie ostatnie solidne domy mieszczańskie, gdzie wszystko zostało po dawnemu. Rodzina nie splamiła się szabrownictwem, wszystkie meble są przedwojenne i stoją na dawnym miejscu. Wstyd w takim domu robić rewizję! Chłuba przetrwania stała się chlubą inercji. Nie wolno zmieniać mebli, naruszać status quo, tylko dzikus mógłby sobie na to pozwolić. Znakomita piosenka, która najmniej ma powodu do osobistego leku, każdą rozmowę przez telefon zaczyna od zapytania, czy pan uważa naprawdę, że cała literatura przedwojenna jest do chrzamu. Nawet gwaltownik Jastrun tak nie uważa, dał mi na to słowo honoru, ale ospałość środowiska powoduje tym gwaltowniczyszy impet. Cisza zachęca do ciszenia gromów.

Za mało mamy gwaltowników. Zdawaloby się, że od takich prób, jak ocena po latach, powinno być zacząć się życie literackie. We Francji klęka się o surrealistów, robią pranie psychoanalizy, oceniają na żywych przykładach, a nas w dobrym tonie są tylko klótnie, w których nie padają żadne tytuły książek. Pierwsze uderzenie gwaltowników, trzeba to powiedzieć otwarcie, zeszło na teoretyczne klótnie o przyszły realizm i rozeszło się po kościach. A trzeba było zacząć od sądenia żywych i umarłych, bo takie jest prawo żywych. I tylko wtedy zachowa się ciągłość, tę ciągłość kulturalną, o której tyle się mówi. Strażnikami ciągłości są gwaltownicy młodzi i starzy, a nie kopsi, przepisujący dawne opinie dla nowego pokolenia.

Opinie o książkach i pisarzach ustalały się w wadłowej atmosferze przedwojenną i często były wypadkową wadliki pism literackich, mających określone tendencje polityczne, dalekie od dzisiejszej demokracji. Na terenie literackim demokracja gremialnie odpuściła grzechy przedwojenne i wnet na tym odpuście zaczęto sprzedawać po podwyższonych cenach dawne błyskotki. Byli przed wojną literaci zblizni do genuer i dlatego stawiano ich jako wybitnie utalentowanych. W starczy dzisiaj zerknąć ciolce wyhazac, że jest ciotką takiego literata, a przedstawiają ją premierowi do stałej zapomogi. Wystarczy, że literat nie uchylił się od współpracy z demokracją, a jeszcze dostanie dokładkę do glorii, jaką przysięto mu w dawnej komunikturze. Nie można pocieć brąc za złe, że w atmosferze emigracji zachodniej nie potrafił polaczyć nostalgii z postawą czynną, bojącą, ale mianował go za to bohaterem duchowym, to już chyba najsmutniejszy snobizm naszych czasów.

Trzeba czytać książki od nowa, ale czytać zmienionymi oczami. Próby oceny po latach będą utonne, sporadyczne, bo jesteśmy krajem bez krytyków. Ale gdyby tak w innych pismach zechciano także powyciągać książki i omawiać, polemika nabrałaby krwi i konfliktowości. Czytelnik wiedziałby norezecie, o czym się mówi, o co się poglądy kryżują. Zaczęłoby się mgła rozstępować, woda oddzielałaby się od powietrza, spłynęłaby i powietrze byłoby czystsze.

ADAM WAZYK

TWÓRCZOŚĆ

mieścicznik literacko-krytyczny wyd. przez Spółdz. Wyd. „Czytelnik”

zamieszcza prace czołowych literatów polskich. Listopadowy numer „Twórczości” poświęcony jest Mickiewiczowi i przynosi nieznanne pisma poety z okresu filonackiego. Ponadto zawiera prozę K. Pruszyńskiego, fragmenty sztuki K. Grzebińiewskiej, rozprawy krytyczne J. Kleinera, W. Kubackiego, L. Pódhorskiego i in.

Każdy numer wychodzi w objętości około 200 str. druku.

Cena zeszytu „Twórczości” 40 zł. Prenumerata kwartalna 120 zł, półroczna 240 zł. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki „Czytelnika” oraz administracja pisma, Kraków, ul. Wielopole 1.

Urywek z I ks. „Pana Tadeusza”:

I dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem.
Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków,
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszek;
Dobra, całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezludnością opieki, wyrokami sądu,
W częste spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wzięść nie chciał, bo w szlachekim stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;
Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu, upodobał mury,
Tłumacząc, że gotyckiej są architektury,
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem,
Że architekt był majstrem z Wilna, a nie Göttem.
Dość, że Hrabia chciał zamku! Właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
Wreszcie po wielu kosztach i ukazach licznych
Sprawą wróciła znowu do sądów granicznych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Js. Drat. Warszawa, Bog. Biał. Lublin. — Z. T. Zarz. — Trzciana, Em. Mich. — Wis. Warszawa, J. Sam., Zyg. Dysz. — Wasilków, K. Olek. J. Szczaw, Warszawa. — Z wierszy nie skorzystamy.

A. Pok. — Nie dla nas. Radzimy dużo czytać, nie spieszyć się z drukowaniem utworów.
L. Obr. Katowice, J. Hen. T. Biał., A. Rzym-ski — Szczawnica, J. Kow., P. Cier., W. J. Dob. — Kraków, Pawł. Tauch. — Nie skorzystamy.

N O T Y

Przegląd prasy

STUDIA WYŻSZE NAUCZYCIELI

Dopuszczenie czynnych nauczycieli wychowanków t. zw. seminariów do studiów wyższych napotyka na trudności, mimo pozytywnego stanowiska Ministra Oświaty i uniwersytetów.

Należy z tą praktyką zerwać. Każdy nauczyciel powinien mieć prawo wstępu do szkoły akademickiej bez żadnych zastrzeżeń, świadectwo seminaryjne musi być w tym wypadku uznane za równoważne maturze ogólnokształcącej.

Bo właściwie jest to matura — tyle że bez fa ciny. A praktyka szkolna — nauczycielowi daje więcej niż łacina.

Swobodne dopuszczenie wszystkich nauczycieli do szkół wyższych jest koniecznością polityczną i kulturalną.

Polityczną: bo nauczyciel szkoły powszechnej kończący seminarium to najczęściej z pochodzenia chłop. Obecność tych ludzi w szkołach wyższych przyczyni się nareszcie do u zdrowienia składu społecznego środowiska studenckiego.

Kulturalną: bo mamy, tak mało ludzi jako tako przygotowanych do studiów, że nie wolno nam ani jednego z nich odpychać od bram uniwersytetu. Podniesienie zaś poziomu naukowego i pośrednio materialnego nauczycieli — to czysty zysk społeczny.

zlk.

ZACYTUJEMY CYTA

W szóstym numerze „Kuznicy” Jan Kott dał krytyczny przegląd półrocznej działalności „Tygodnika Powszechnego”. Daremnie czekaliśmy na jakąś próbę rzeczowej odpowiedzi. Daremnie czeka na to samo „Odra”, której nikt chyba nie posadzi o grawitowanie do „Kuznicy”. Jeżeli między którymkolwiek pismami rozwinię się rzeczowa, zasadnicza polemika, to właśnie między „Kuznicą” a „Tygodnikiem” — tak przewidywano w „Odrze” (Nr 14). Daremnie „Tygodnik Powszechny” nie znalazł dotąd rzeczowych argumentów. Wierny swojej niebieskiej orientacji, potraktował nas „z góry”, odciął się żartami p. Cyta w felietonie pt. „Wieniec od p. Kotta”, przypomniał nam, że Wolter nigdy nie miał mitosników w Polsce (od Mickiewiczowskiej „Darczanki” począwszy, a na Boyu kończąc spiorunował nas dowcipem, że „Kuznica” a Polska to dwie różne rzeczy, no i tyleżmy właśnie argumentów słyszeć. Trudno, z konieczności cytujemy Cyta, który zapewnia, że trzy osoby stanowiące zespół redakcji „Tygodnika Powszechnego” zwały się przed wojną sanacją. Wierzymy, ale cyt., cyt., Alboż to wysławianie patentów na polskość nie było ulubionym zajęciem sanacji i ostatnią jej przedśmiertną manią? P. Raczkiewicz w Londynie wystawiał takie patenty z tym większą nieomyślnością, im bliżej był kresu.

Nie wypadła Cytowi liczyćwać się z dawną i nową sanacją.

rde

O CZYM WRÓBLE CWIERKAJA

W nr. 32 „Tygodnika Powszechnego” pisze p. Kisiel o rozmowie swojej z jakimś „robotnikiem” i z innymi znajomymi na temat demokracji prasy, która według orzeczenia przyjął ideologicznych p. Kisiel nigdy nie pisze prawdy. „Jakiej prawdy? — No tej, o której podobno wszystkie wróble ćwierkają”.

O czym wszystkie wróble ćwierkają p. Kisielowi?

Wiemy wszyscy — „o trzeciej wojnie”.

(mj)

KOLPORTAŻ

Dyrektor Widzewskiej Manufaktury w Łodzi zaproponował mi wygłoszenie odczytu w świetlicy robotniczej. Taka wycieczka, — chociaż tylko tramwajem, — może być pouczająca. Na przestrzeni 3 kilometrów, od ulicy Piotrkowskiej do fabryki, ani jednej księgarni, ani jednego punktu sprzedaży. Uświadomiłem sobie cały bezsens w ten sposób budowanej sieci kolportażu. Na głównych ulicach naszych miast, księgarnie „jedna na drugą” — a całe dzielnice robotnicze, nie mówiąc już o wsi, bez słowa drukowanego.

Kolportaż, to nie zagadnienie handlowe — to sprawa społeczna. Nadszedł chyba czas, kiedy książka powinna szukać i znaleźć czytelnika.

Wydawcy z zadowoleniem zacierają ręce: wszystko się rozchodzi. Nie wielka to zasługa, wobec głodu książki, jakiego nie znała jeszcze kultura polska. Nie może być nam obojętne, kto czyta. Wyobraźmy sobie, jakby się zajął redaktor „Kuznicy”, gdyby — na przykład — na podstawie ankiety stwierdził, że cały nakład pisma rozchwytną rozparcelowani obszarnicy.

Równomiernie rozmieszczenie punktów sprzedaży książek i czasopism jest rzeczą wielkiej wagi.

„Rekinom” spółdzielczego ruchu księgarskiego kładę tę sprawę na sercu.

st-er

O KRYTYCE LITERACKIEJ

„Życie literackie” (Nr 9/10) zamieściło artykuł dyskusyjny Eugeniusza Aniszczuki p. t. „Krytyka jaka jest i jaka powinna być”, który

ry warto zasygnalizować. Autor wskazuje na następujące zadania krytyki literackiej: wydawanie sądów oceniających, pośredniczenie i przetarcie dróg między utworem literackim a czytelnikiem, uchylanie nieporozumień i ukazywanie istotnych wartości utworu. Następnie autor stwierdza, że takiej krytyki obecnie w Polsce nie mamy. Wskazuje przy tym na przeszkody, które należałoby usunąć. Zalicza do nich notoryczne chwalenie utworu i metody odosobnionych przytyków, polegająca na cytowaniu urywków i przypinaniu łatek autorom. Następnie zwołana przejawy krytyki „formalnej”, stwierdzając, że ta metoda wykrywa prawdy blade. Wreszcie autor wykazuje kruchość formalistycznych koncepcji Sandera, wyrażonych w „Uwagach” Nr 26 „Odrodzenia”.

Spostrzeżenia Aniszczuki są słuszne. Słuszne jest także przypomnienie, że kulturę tworzy nie tylko artysta, ale i krytyk.

Jedno tylko w tym rozumnym artykule nasuwa poważne zastrzeżenia. Według Aniszczuki dzieło jest wyrazem osobowości. Zapytajmy — czyje? Usłyszymy z pewnością odpowiedź: osobowości autora.

Nie jesteśmy pewni, czy Homer istniał, więc czyjej osobowości wyrazem będzie Iliada?

Natomiast wiemy, że Erkmann i Chatrian wspólnie pisali powieści. Utwory ich będą wyrazem podwójnej osobowości, tak samo, jak niektóre powieści pisane wspólnie przez Boguszkę i Kornackiego.

Okazuje się, że dzieło może być wyrazem podwójnej, potrójnej, posetnej osobowości a kiedy dojdziemy do dziesięciu tysięcy, stanie się wyrazem fikcyjnej osobowości Homera.

awk

O BEZBOŻNYCH RYBAKACH

W ostatnim (ósmym) numerze ukazującego się we Wrocławiu tygodnika „Ład Boży” na szczególną uwagę zasługują program działalności kościoła określony przez Plenarną Konferencję Episkopatu na Jasnogórze. Kościół — dowiadujemy się „ubolewa nad wylotami, które wojna poczyniła tu i tam w obyczajach narodu”, jednak „ze szczególnym bólem i niepokojem patrzy Episkopat na szerzenie się zbrodni spędzania płodu, która sprzeciwiając się zasadniczo prawu bożemu i prawu natury, grozi jednocześnie w rozwój i samo życie narodu”. Nie jestem co prawda ginekologiem, ani nawet zwykłą akuserką, o ile jednak wiem, zbrodnia spędzania płodu nie jest dzisiaj bardziej nagminna niż, powiedzmy, przed wojną, a co ważniejsze, nie wydaje mi się ona być tym najbardziej godnym ubolewania „wylotem, który wojna poczyniła tu i tam w narodzie”. Są chyba w obyczajach narodu gorsze wyloty. Czytamy jednak dalej: „Kościół powinien w naszym ciągu otaczać szacunkiem i opieką instytucje małżeństwa chrześcijańskiego”. Czy Episkopat rzeczywiście skłania się do przypuszczenia, że katolicki ślub udzieleny za parę tysięcy złotych przez katolickiego duchownego, katolickiej parze uchroni katolicki od popelniania zbrodni spędzania katolickiego płodu? A może to horribile dictum, chodzi o tych parę tysięcy złotych, które popłynię pod sutannę?

Z innych ciekawych wiadomości w „Ładzie Bożym” znajdujemy historyjkę o pewnym bezbożniku, co to się śmiał z istnienia Maryi, a gdy poszedł łowić w stawie ryby, granat, którym chciał je ogłuszyć, wybuchnął niespodziewanie, urywając mu równiutko głowę.

(28)

APOKALIPSA

A nanka, którą słyszycie nie jest Mojżesz, ale Ojca, który mnie przysłał.

(Sw. Jan. 14,23—25)

Kilka dni temu w Górze Radwańskiej ujrzałem nowego „wedrowca”. Rozbił swe namioty z dawno niewidzianym towarem — sprzedawał „Przewodnik Katolicki”. Po dwóch dniach znikł. Nie przegoniła go — Boże broń! — milicja ani władze bezpieczeństwa. Po prostu — rozsprzedał swój przedwojenny towar. Kupiony przeze mnie numer 23 jest z dnia 9.6. 1935 r. Stary, ale tylko data. Bo posłuchajcie, co w „Ewangelii na uroczystość Zielonych Świątek” pisze anonimowy X. Szcz. St.:

„wszystko, co w nas jest skazzone niewolą komunistyczną, nauka nienawiści klasowej, złym duchem zmaterializowanych czasów... (trzeba) odrodzić w Chrystusie... Wzywa Pius XI, aby nieustannie katolicką naszą mową i propagandą przestrzegać przed trucizną komunizmu”.

Bo posłuchajcie, co w artykule „Na Ducha Świętego Zesłanie” pisze f.f. (Redaktor naczelny pisma, X. Fr. Forecki):

„Są w dziejach godziny o których śmiało można powiedzieć, że narody z wyśknięciem na nie czekają... Dwanaście lat temu świat właśnie taką przeżywał godzinę. Wypatrywał jej długo i z niecierpliwością. A kiedy wreszcie wybiła, odetchnął z ulgą... To była ta godzina, o której jeden z największych tyranów, hańba ludzkości, wyrodek społeczeństwa, kal Rosji, dyktator Lenin, zamknął oczy na zawiesz. Straszne było to umieranie... Gasił, a w bezwładnej, kalmuckiej czasce zwolna lecz nieubłagannie zgnilizna toczyła zwoje mózgowo.”

Gdy po zgonie otworzył czaszkę, wylał się cichym, zielony płyn. Te parę kubków ciekącej cieczy, zanim się nie rozplynęła całkowicie, dokonało tego niewątpliwie największego nieszczęścia w dziejach ludzkości. Te parę kubków ciekącej cieczy zbурzyło do gruntu jedno z największych mocarstw świata i rozpoznało na 200 milionach ludzi ten straszny eksperyment, wykłuty w chorym mózgu, który niewiadomo dokąd zaprowadziłby świat, gdyby się wezas nie spostrzeżono... A Kościół jak stał, tak stoi i stać będzie. Przetrawiliśmy nawalnicę Mahometa, „Zjawił się Luter, żydostwo, masoneria! Nadeszła straszna w swych okropnościach rewolucja francuska... Wymordowano kapłanów, królewską rodzinę posłano na szafot, a za nimi aż 20 tysięcy głów ludu potoczyło się w piasek pod ostrzem gilotyny!”

Ze tak pisano w Polsce przedwzręsiowej — wiadomo. Ale, że tego rodzaju pisma kolportuje się jeszcze dzisiaj, to co najmniej dziwne. „Bo język jest, jak ogień...” (Jak. 3,6). Wiadomo, że „Przewodnik Katolicki” był wówczas tygodnikiem powszechnym. Ale dziś starczy nam stanowczo obecny „Tygodnik Powszechny”.

Z PRAŚY DOLNOŚLĄSKIEJ

Są na Dolnym Śląsku takie miejscowości, do których z trudem dociera nawet wrocławski „Pionier” lub lignicki „Naprzód” i w których Warszawa czy Katowice trudno uchwylić przez radio. Znalazłem się w takich miejscowościach ludzie, którzy z własnej inicjatywy rozpoczęli wydawanie pism z wiadomościami, z artykułami literackimi, aby — w wielu miejscach nieliczni jeszcze Polacy, nie stracili z Polską — z żywym słowem polskim kontakty. Trudności olbrzymie, bo te prowizoryczne periodyki trzeba powielać lub wprost przepisywać na maszynie. A wiec chwalebna praca dolnośląskich pionierów dziennikarstwa polskiego. Ale — oto wpadł mi w ręce nr 12 z dn. 19—20.10. br. „Serwisu” artykułowego PLOMIENIE i biuletynu wiadomości radiowych (tak brzmi pełny tytuł, wydawanego w Zawidowie k. Lubania.

Przytaczam próbkę: z artykułu wstępnego St. Ratajczyka p.t. „Przekleństwem katom”:

„Zgłiszczą, ruiny, pożogi, ludzie w łachmanach, wygnanie z Ojczyzny, ból śrogi, a potem uśmiech przez łzy, pójdziemy z chumrem (ł w nieznane — bo musimy! Tak było... Piłskie krew obęga, aż was zatykało... Chcieliście być lepszymi synami swej ojczyzny niż dawniej — za Bismarcka i stłobopłmiennego Büblowa... Nie wam nie pomoże żezowanie w kierunku Hiszpanii czy Argentyny. Ani jutro — za 50 lat, ani pojutrze — za 100 lat nie odegracie się więcej...”

Z części literackiej:

„A zresztą każdy Niemiec... zawsze się zgadza, że Prusacy to bydlęta. Z przeproszeniem bardzo czcigodnych i znacznych bydląt, które stoją przeciw o tyle wyżej w hierarchii stworzeń bożych od tych dwanogów, którzy mają nazwę Niemców, a dla których trzeba będzie dopiero znaleźć nazwę właściwą, jakimiż petakim był Neron wobec takiego łobuziaka jak Himmler? Jakim rycerzem był Dżengis-Chan wobec półgłówkowego Hitlera... U nich nigdy nie widać wewnętrznej walki, prawdziwego spokoju, tylko rozbieganie i znowu ślepnące oczy...”

Dziwne jest tylko to, że pod artykułem figuruje nazwisko Pawła Hulki-Laskowskiego. Czy to aby nie mistyfikacja?

Zw. Zaw. Dziennikarzy powinien się zainteresować poziomem dziennikarstwa na Dolnym Śląsku.

mm

JESZCZE O POEZJI GUDZENKI

W numerze 10-ym „Kuznicy” ob. Żłk. bierze w obronę poetę Gudzenko przed sowiecką krytyką literacką, jakoby nieelastyczna, jakoby tłumiąca „objawy odrębnej, samodzielnej prozody poetyckiej”, a narzucająca jąową „sztaampę”. Lubię wojenne wiersze Gudzenki, dekluje się nimi, ale nie mam co do rodzaju tej poezji żadnych złudzeń: Gudzenko to pogrobowiec akmeizmu; szkoły poetyckiej, która narodziła się krótko przed pierwszą wojną światową w ówczesnym Petersburgu jako reakcja przeciw symbolizmowi Bloka, Bielego, Iwanowa. Jej rodzicami chrześnymi byli Mikołaj Gumilow i Anna Achmatowa; źródłem jej natchnień była twórczość „matych poetów” epoki puszkinowskiej. — Delwiga, Boratyńskiego, Wlazniewskiego; powodzenie jej było wyrazem przesytu i snobistycznego przerafinowania mieszczańskiej elity. Akmeizm to lubowanie się w chłodnej klasycystycznej stylizacji, to egzotyzm konkretny, to cierpkość wyszukaną i powściągliwym, wystudiowaną prostoty. Prąd ten wydał paru dobrych poetów, że wymienię Chodasiewicza, Mandelsztama i Rózdziestwińskiego, ale — w sumie był to w literaturze łubedzi śpiew ówczesnego mieszczaństwa oświeconego.

Gudzenko, ntalentowany poeta, stosuje w poezji wojennej chwytły akmeistyczne. Oto dla przykładu dwie końcowe strofy wiersza

Tygodnik „Wieś” nr 15 poświęcony jest zagadnieniu teatru ludowego. Zygmunt Kalużyński w artykule „Czy teatr ludowy się odrodził? a informuje o działalności placówek, które kształcą nowe kadry pracowników dla teatrów ludowych, stwierdza jednocześnie, że w porównaniu z okresem przedwojennym „dzisiejsza niemrawość teatru ludowego jest czemś zadziwiającym”.

Sprawę repertuaru, zwłaszcza sprawę „obrzędowości cierniakowskiego teatru” poddaje autor artykułu rewizji, dowodząc, że linia teatru Cierniaka była konsekwentna w stosunku do ówczesnej sytuacji społecznej. Dziś „powrót do teatru cierniakowskiego byłby cofnięciem się wstecz”. Jako przykład nowego teatru ludowego podaje autor dwie próby przedstawień zorganizowanych przez chłopów samych, stwierdzając, że „nasz ludowy teatr po tej strasznej wojnie... już nie tylko piękno chłopskiej tradycji „pawich piór” wyrażać będzie. Podzielamy to życzenie.

O czeskim teatrze awangardowym pisze w „Odrodzeniu” (nr 49) Artur M. Swinarski. Interesujące eksperymenty praskie świadczą, że i czeski teatr nie znalazł jeszcze swojej formy. Z artykułu A. M. Swinarskiego, a zwłaszcza z uwag autora o przedstawieniu „Romea i Julia” wynika, że praski teatr Buriana płynnie ku brzegom ekspresjonistycznej mielizny. W tym teatrze „Słowo oszalała, narkotyzuje i zanosi do wymiarów, gdzie logika i ścisłość rozumowania ustępują przed nowym metafizycznym wstrząsem”. Na tym tle realistyczna raczej linia naszego reprezentacyjnego teatru (Łódzki Teatr WP) wydaje się czymś niezmiernie pocieszającym.

W tym samym numerze „Odrodzenia” zamieszcza prof. A. B. Dobrowolski obszerny artykuł, omawiający sprawę organizacji samokształcenia inteligencji i stworzenia Instytutów Wyższej Kultury Umysłowej. Autor podaje dokładny zakres działalności i program proponowanej instytucji i kreśli wspomnienie o organizacji samokształceniowej, której był jednym z inicjatorów i członków w latach 1888—1891.

Tadeusz Breza rysuje sylwetkę zmarłego niedawno francuskiego poety, Pawła Valery’ego we wnikliwym esyju „Podróż do kresu światłości”. Breza krytycznie ocenia „pokusy waleryzmu”. I w zakończeniu szkicu, wspomniąc o jednym z niedokończonych dzieł Valery’ego mówi Breza, że „Nie zdolny dać w całości swego symbolicznego wizerunku, bo nawet własnego odbicia z lustra nie potrafi odmalować ten, kto wpiern nie przestudiował ludzkiej anatomii na innym człowieku”.

W dziale poezji Mieczysław Jastrun publikuje piękny wiersz „Ruiny katedry świętego Jana”. Pozałam odnotować należy przekład Adama Ważyka z poematu Majakowskiego „Władimir Ilicz Lenin”.

Pierwszym z przedwojennych pism literackich, które powstaje na nowo w zmienionej zewnętrznej nawet formie jest „Kamień” pod redakcją K. A. Jaworskiego. Nr 1 (61 ogólnej liczby) dotychczas wydanych numerów) zawiera stronę publikacji poświęconych pamięci Józefa Czechowicza. Informacyjny artykuł o Aleksandrze Herzenie w 75. rocznicę śmierci Herzena z podkreśleniem kontaktów jego pisarza z Polakami, publikuje K. A. Jaworski. „Kamień” zwycięż należ, by przeprowadzała większą selekcję w doborze materiału poetyckiego i nawiazala szersze kontakty z innymi środowiskami literackimi, prócz Lublina, którego silny wpływ już przed wojną nadawał piśmiu nieco oryginalny charakter.

ph.

„Przed atakiem”

„Ale my już nie możemy czekać” prowadzi nas poprzez okopy zgrabiała nienawist, bagнетem dzurawiana szyję, Bitwa była krótka. Potem chleli lodowatą wodkę i wzdrywałem nożem, z pod paznokci cudzą krew.

Od takich smaków i smaczków roi się w wierszach Gudzenki. Przyznaję, że to się może podobać ludziom o wybrednym godniebieniu. — Wyznam jednak, że, cenie Gudzenkę, wole poezje wojenną Dobmałowskiego, Twardowskiego, Surkowa i Simonowa, ich szorstki patos ludowy, bezpośredniość ich doznań, ciepło i szczerzość ich niewyszlizowanej prostoty, wywodzącej się z Kolewova. To oni i im podobni nadają ton dzisiejszej poezji radzieckiej, ton jedynie właściwy, bo współdziałający z psychiką mas wojujących i pracujących. Nazwać ten ton generalny „sztaampą”, jak to czyni Żłk., to znaczy — nie wyczuwać namięt kierunkowych liryki radzieckiej, niedocenić dyscepliny poetyckiej, harmonizującej z wielkością i powagą wojennych lat. Gudzenko, mimo świetnie niekiedy osiągnięcia, wymuluje się z tej dyscepliny — pogłosem gumilowskim, brzmącym dzisiaj fałszywie i zgrzyliwie. Sowiecka krytyka literacka uznaje walory Gudzenki, wytyka mu oświełość, efekciarstwo, pogodził za malowniczym detalem i zwłaszcza przedawnione ciągły akmeistyczne. Sowiecka krytyka literacka ma rację.

sh.